

ANNE MCCAFFREY

OPOWIEŚCI NERILKI

tom ósmy

Jezdźcy Smokow

PRZEŁOŻYŁA ALEKSANDRA JANUSZEWSKA

SCAN-DAL

PROLOG

Jeśli Czytelnik nie zapoznał się dotąd z serią Jeźdźcy Smoków z Pern, pewne szczegóły mogą okazać się dla niego niezrozumiałe. Opowieści Nerilki stanowią uzupełnienie poprzedniego tomu „Moreta, Pani smoków z Pern”. Jest to historia przedstawiona z punktu widzenia jednej z drugoplanowych postaci tamtej powieści.

A zatem przedstawiamy tło wydarzeń:

Rukbat w gwiazdozbiore Strzelca to złota gwiazda typu G. Miała pięć planet, dwa pasy asteroidów i zbłąkaną planetę, którą przyciągnęła tysiąc lat temu. Kiedy ludzie osiedlili się na trzeciej planecie Rukbatu i nazwali ją Pernem, nie zwrócili szczególnej uwagi na dziwne ciało niebieskie obiegające gwiazdę po niezwyklej orbicie. Dwa pokolenia kolonistów nie zaprzętały sobie głowy jaskrawą Czerwoną Gwiazdą - aż droga kosmicznego włóczęgi przywiodła go w perihelium siostrzanej planety. Gdy tego układu nie zakłócały inne planety systemu, pasożytnicze organizmy żyjące na powierzchni przybysza z głębin kosmosu usiłowały pokonać przestrzeń dzielącą je od planety o łagodniejszym, umiarkowanym klimacie. Wówczas z nieba nad Pernem opadały srebrne Nici niszcząc wszystko, z czym się zetknęły. Koloniści ponosili na początku nieoszacowane straty. W rezultacie zmagania z plagą zagrażającą życiu na Pernie więz z ojczystą planetą, i tak krucha, uległa ostatecznemu zerwaniu.

Chcąc odparować ataki śmiercionośnych Nici - a Perneńczycy już dawno przerobili statki kosmiczne na narzędzia rolnicze i zarzucili wyszukane technologie, nie znajdujące zastosowania na tej sielankowej planecie - ludzie o otwartych głowach podjęli długofalowe działania. W pierwszej fazie przystąpili do hodowli specjalnej odmiany ognistego jaszczura, stworzenia występującego w ich nowym świecie. Mężczyzn i kobiety odznaczających się wysokim stopniem empatii oraz pewnymi zdolnościami telepatycznymi uczono, jak przestawać z tymi niezwyklejmi zwierzętami.

Smoki - zawdzięczały tę nazwę podobieństwu do baśniowych ziemskich stworów - odznaczały się dwiema cennymi właściwościami: mogły w jednej chwili przenosić się z miejsca na miejsce, a po przeżuciu skały zawierającej fosfinę wydychały płonący gaz. Ponieważ potrafiły latać, były w stanie spalić Nici w powietrzu.

W ciągu kilku pokoleń nauczono się w pełni wykorzystywać potencjał smoków. Drugą fazę planu obrony obliczono na jeszcze dłuższy okres. Nici - przemierzające przestrzeń kosmiczną mikroskopijne zarodniki - pochłaniały żarłocznie wszelką materię organiczną, a gdy osiągały

ziemi, zagłębiały się w gruncie i rozmnażały z przerażającą szybkością. Wyhodowano zatem symbiotyk, który miał zwalczyć pasożyta. Uzyskaną larwę wprowadzono w glebę Południowego Kontynentu. Zgodnie z planem, smoki miały stanowić pierwszą linię obrony i zwęglać Nici w locie, chroniąc domostwa i bydło osadników. Larwa - symbiotyk - miała zaś chronić roślinność pożerając Nici, które zdołały przedrzeć się przez ogień smoków.

Twórcy dwuetapowego planu obrony nie uwzględnili warunków geologicznych. Południowy Kontynent, na pozór atrakcyjniejszy niż ląd północny o surowszym klimacie, podlegał wciąż, jak się okazało, geologicznej transformacji, która zmusiła w końcu kolonistów do ucieczki przed Nićmi na skalistą tarczę Północy.

Pierwsza Warownia na kontynencie północnym, wzniesiona u wschodnich podnóży Wielkiego Łańcucha Górskiego Zachodu, okazała się wkrótce za ciasna dla kolonistów i rosnącej liczby smoków. Drugą założono nieco dalej na północ nad wielkim jeziorem rozciągniętym u stóp górskiej jaskini. Ale i Warownia Ruatha - jak nazwano tę siedzibę - uległa wkrótce przeludnieniu. Czerwona Gwiazda ukazywała się na wschodzie, Perneńczycy postanowili zatem założyć osiedle we wschodnich górach. Warunkiem było znalezienie odpowiedniego miejsca, gdyż jedynie lita skała i metal, którego na Pernie dotkliwie brakowało, nie poddawały się niszczącemu działaniu Nici.

Skrzydlate, ogoniaste i ziejące ogniem smoki w procesie hodowli doszły do takich rozmiarów, że potrzebne im były bardziej rozległe pomieszczenia niż te, które były im w stanie zapewnić górskie siedziby. Puste wnętrza stożków wygasłych wulkanów, jeden powyżej Warowni, drugi w Górach Benden, okazały się dostatecznie obszerne i po niewielkich zmianach nadawały się do zamieszkania.

Smoki i ich jeźdźcy z wysoczyzn oraz mieszkańcy jaskiniowych siedzib mieli do wykonania różne obowiązki. W ten sposób wykształciły się różne obyczaje, które z czasem okrzepły w tradycję i stały się obowiązującym prawem. Kiedy zbliżała się pora Opadu - gdy o świcie Czerwona Gwiazda wschodziła nad Gwiezdnymi Kamieniami ustawionymi na obrzeżach każdego Weyru - smoki i ich jeźdźcy szykowali się, by osłaniać lud Pernu.

Potem nastąpiła przerwa długości dwustu Obrotów planety Pern. Czerwona Gwiazda niczym więzień tkwiła wówczas na dalekim krańcu orbity. Plaga Nici ustała. Perneńczycy usunęli ślady zniszczeń i obsiali pola. Założyli sady i pomyśleli o zalesieniu ogołoconych przez Nici górskich zboczy. Udało im się nawet zapomnieć o tym, że kiedyś groziła im zagłada. Wędrowna planeta powróciła jednak, a wraz z nią na następne pięćdziesiąt lat powróciły śmiertcionosne Opady Nici. Perneńczycy ponownie dziękowali odległym o wiele pokoleń przodkom za to, że wyhodowali smoki, które spopielaly ognistym oddechem Opad, zanim

dosięgnął powierzchni planety.

Hodowcy smoków także prosperowali w czasie lat spokoju. Założyli wówczas cztery nowe osady.

Wspomnienie ziemskiego pochodzenia z każdym pokoleniem zacierało się coraz bardziej w pamięci Perneńczyków, aż przerodziło się w mit. Znaczenie Południowej Półkuli oraz zasady postępowania wypracowane przez wcześniejsze pokolenia kolonistów uległy zniekształceniu i zagubiły się pod wpływem niedogodności życia na niebezpiecznej planecie.

Do czasu szóstego Przejścia Czerwonej Gwiazdy wykształcił się skomplikowany system socjalno-polityczno-ekonomiczny, który miał ułatwić przeciwstawienie się powracającemu zagrożeniu. Sześć Weyrów, jak nazwano stare wulkaniczne siedziby hodowców smoków, podjęło się bronić Pernu. Każdy Weyr wziął - dosłownie - pod swe skrzydła określoną część Północnego Kontynentu. Reszta ludności zgodziła się utrzymywać Weyry, jako że przy wulkanicznych siedzibach nie było ziemi ornej, a jeźdźcy nie mogli zaprzestać szkolenia smoków i poświęcić się innym zajęciom w okresach spokoju. Gdy zaś Czerwona Gwiazda pojawiła się ponownie, cały ich czas wypełniała walka z Nićmi.

Osady, lub inaczej Warownie, rozwinęły się tam, gdzie znaleziono odpowiednią jaskinię. Niektóre były większe i strategicznie lepiej położone od innych. Utrzymywanie w ryzach przerażonej ludności podczas Opadów Nici wymagało silnej ręki. Gospodarka żywnością przy zawsze niepewnych żniwach była możliwa tylko przy mądrej administracji, do zarządzania ludźmi i zapewnienia im zdrowych warunków życia i pracy musiano stosować środki nadzwyczajne.

Jednostki szczególnie uzdolnione w dziedzinie obróbki metali, tkactwa, hodowli zwierząt, uprawy roli, rybołówstwa, wydobywania kruszców tworzyły Cechy przy każdej z większych Warowni. Podlegały one jednej siedzibie Cechu, gdzie uczono rzemiosła i przechowywano jego tajniki z pokolenia na pokolenie. Panowie Warowni nie mogli odmówić produktów swoich Cechów innym Warowniom, gdyż Cechy cieszyły się niezależnością. Mistrzowie rzemiosł winni byli posłuszeństwo Mistrzowi Cechu konkretnego rzemiosła, który wybór na to stanowisko zawdzięczał biegłości zawodowej i zdolnościom administracyjnym. Odpowiadał on za działalność swojego Cechu i za równy, sprawiedliwy podział wszystkich produktów.

Panowie Warowni, Mistrzowie Cechów oraz, naturalnie, jeźdźcy smoków, od których cały Pern oczekiwał ochrony podczas Opadów Nici, mieli prawa i przywileje.

W Weyrach dokonała się największa rewolucja społeczna, gdyż potrzeby smoków uznano za absolutnie priorytetowe. Wśród smoków złote i zielone należały do rodzaju żeńskiego,

spizowe, błękitne i brunatne - do męskiego. Spośród smoków rodzaju żeńskiego jedynie złote odznaczały się płodnością; zielone były bezpłodne na skutek żucia ogniowej skały. Miało to dobre strony, gdyż ich seksualna nadpobudliwość doprowadziłaby do nadmiernego wzrostu smoczej populacji. Były za to najzręczniejsze i niezrównane w walce z Nićmi, nieustraszone i agresywne. Błękitne samce odznaczały się silniejszą budową aniżeli ich mniejsze siostry, charakterystyczną zaś cechą brunatnych i spizowych była ich wytrwałość podczas długich, zaciętych zmagañ z Nićmi. Teoretycznie, wielkie złote samice, płodne królowe, parzyły się z tymi smokami, z którymi zetknęły się podczas lotu godowego. W zasadzie jednak zaszczyt ten przypadał spizowym. W rezultacie jeździec na spizowym smoku, którego wierzchowiec odbył lot godowy z najstarszą królową Weyru, stawał się przywódcą Weyru i kierował walką podczas Opadu Nici. Największa odpowiedzialność spoczywała jednak na jeźdźcu królowej. Pani Weyru troszczyła się o wyżywienie i utrzymanie smoków, a także dbała o dobro Weyru i jego mieszkańców. Obdarzona silną osobowością pełniła rolę nie mniej ważną dla przetrwania Weyru jak smoki dla przetrwania osadnictwa Pernu.

Na niej spoczywała troska o zaopatrzenie Weyru, wychowanie dzieci i wyszukiwanie w Warowniach i Cechach kandydatów na opiekunów nowo wyklutych smoków. Mieszkańcy Weyru cieszyli się dużym prestiżem i żyło im się łatwiej niż innym. Warownie i Cechy szczyły się zatem, że ich dzieci wychowywano tam właśnie, i chęłpiły się znakomitymi członkami rodu, którzy zostali jeźdźcami smoków.

Obecnie, za 1541 Obrotu wedle perneńskiej rachuby czasu, gdy szósty z kolei obieg Czerwonej Gwiazdy zbliżał się do końca, osadnicy, Lordowie Warowni, Mistrzowie Cechów i hodowcy smoków stanęli wobec nowej groźby, równie straszliwej jak Nici.

Rozdział I

3.1 L1553 Przerwa

Nie jestem harfiarką, nie spodziewajcie się, zatem gładkiej opowieści. To moja własna historia i na tyle dokładna, na ile pamięć zdoła ją odtworzyć; moja pamięć, tak więc przedstawię jedynie swój własny punkt widzenia. Nikt nie zaprzeczy, że dane mi było przeżyć chwile doniosłe w historii Pernu, czasy tragedii. Wyszłam cało z Wielkiej Zarazy, choć moje serce nadal krwawi z powodu tych, których zabrała niewczesna śmierć - i tak będzie zawsze.

Udało mi się w końcu przyjąć wobec śmierci postawę akceptacji. Najstraszliwsze nawet samooskarżenia nie tchną życia w zmarłych. Jak wielu innych, żałuję tego, czego nie zrobiłam albo nie powiedziałam moim siostram, do których teraz nie dotrze me słowo. Nie usłyszą pożegnania, tak jak owego dnia, który okazał się ostatnim, kiedy je widziałam.

Tego uroczego poranka, kiedy mój ojciec, lord Tolocamp, moja matka, lady Pendra i cztery młodsze siostry wyruszyli w podróż do Warowni Ruatha na jarmark, który miał się odbyć za cztery dni, nie pożegnałam się z nimi wcale i nie życzyłam im szczęśliwej podróży. Przyznaję, że później, dopóki nie odzyskałam zdrowego rozsądku, martwiłam się, że zły los dosięgnął je z powodu mej nieczułości. Ale znalazło się wtedy z pewnością dość żegnających, a krasomówstwo brata mego Campena wywarło lepsze wrażenie, aniżeli wywarłoby moje mrukiwe i wymuszone okazywanie uczuć. Memu bratu powierzono nadzór nad Warownią na czas nieobecności ojca. Zamierzał tę sposobność wykorzystać jak najlepiej. Campen to dobry chłopak, pomimo braku poczucia humoru i niewielkiej wrażliwości. Jest prostolinijny i prawy na wskroś. Chciał zadziwić ojca swoją zaradnością i zręcznością w zarządzaniu Warownią. Aby ten plan się powiódł, rodzice musieli bezpiecznie powrócić do domu. Mogłam uprzedzić biednego Campena, że nie ma co spodziewać się wielkich pochwał ze strony ojca, bo lord Tolocamp od swego syna i dziedzica i tak oczekiwał zaradności i zręczności. Przy pożegnaniu udających się w podróż obecni byli wszyscy z wojskowej załogi Warowni, mieszkańcy i uczniowie Cechu Hafciarzy. Dość było dobrych życzeń, aby zadowolić wszystkich podróżników. Nikt nie zauważyłby mojej nieobecności. Nikt z wyjątkiem, być może, mojej bystrookiej siostry Amilli, której uwadze nie uszło nic, co później mogłoby okazać się dla niej pożyteczne.

Tak naprawdę nie pragnęłam, aby ich co złego spotkało, tym bardziej że poprzedniego dnia nastąpił Opad, choć obyło się bez większych szkód na polach. Nie życzyłam im też radości. Zostawiono mnie bowiem specjalnie i ciężko mi było słuchać paplania sióstr żywiących próżne nadzieje na podboje miłosne podczas jarmarku w Warowni Ruatha.

Brutalne wykreślenie mnie - jednym ruchem ręki mego pana ojca - z listy podróżnych było kolejnym dowodem niezrozumienia z jego strony. Jakże to typowe dla niego - niewrażliwość

na ludzkie uczucia - przynajmniej do czasu, gdy wróciwszy z Ruathy, zamknął się na długie tygodnie we własnych pokojach.

Wyłączono mnie bez szczególnego powodu. Jedna osoba więcej nie utrudniałaby wyprawy. Nawet kiedy zwróciłam się z błaganiem do matki przypominając jej, że wykonywałam wszystkie nieprzyjemne prace wyznaczone dziewczętom, odepchnęła mnie. Okrutnie rozczarowana pogrzebałam ostatecznie swoje szansę przypominając, że wychowywałam się z Surianą, zmarłą na skutek nieszczęśliwego upadku z biegonia żoną Alessana, pana Ruathy.

Lord Alessan z pewnością nie ucieszyłby się widokiem twojej twarzy. Przypominałaby mu o bolesnej stracie - mówiła matka.

Nigdy mnie nie widział - zaprotestowałam - A Suriana była moją przyjaciółką. Wiesz, że pisała do mnie z Ruathy. Gdyby doczekała tej chwili i stała się panią Warowni, zaprosiłaby mnie, jestem tego pewna.

Od pełnego Obrotu leży w grobie, Nerilko - powiedziała matka chłodnym tonem. - Lord Alessan musi wybrać nową narzeczoną.

Nie myślisz chyba, że moje siostry mają jakąkolwiek szansę, aby zwrócić na siebie uwagę Alessana... - zaczęłam.

Nie poniżaj się, Nerilko. Myśl nie o sobie, ale o swoim rodzie - odparła gniewnie matka. - Nasza Warownia jest pierwszą osadą i nie ma rodziny na Pernie, która... pragnęłaby którejś z brzydkich cór Fortu. Niedobrze, że tak szybko wydałaś Silmę. Była jedyną ładną dziewczyną wśród nas.

- Nerilko! Jestem wstrząśnięta! Gdybyś była młodsza, to...

Nawet sztywno wyprostowana w gniewie, matka rozmawiając ze mną musiała zadzierać głowę do góry. Nie nastrojało jej to do mnie przychylnie.

- A ponieważ nie jestem, przypuszczam, że znowu przypadnie mi nadzór nad kąpielą sług.

Wyraz jej twarzy sprawił mi złośliwą satysfakcję, bo najwyraźniej taką wymyśliła dla mnie karę.

- W porze zimnej zawsze korzystają z ciepłej wody i mydłanego piasku. A potem wyczyścisz jeszcze sidła na węże na najniższym poziomie! - Pomachała mi palcem przed nosem. - Zauważyłam, że ostatnio twoje zachowanie nie spełnia naszych oczekiwań Nerilko. Do czasu mego powrotu masz zastanowić się nad znośniejszym sposobem bycia albo, ostrzegam cię, ograniczę twoje przywileje zwiększając obowiązki. W razie nieposłuszeństwa zwrócę się do twego ojca, aby przywołał cię do porządku. Z twarzą zarumienioną od kontrolowanego gniewu kazała mi odejść.

Opuściłam jej pokoje trzymając wysoko głowę, ale groźba odwołania się do ojca odniosła

skutek. Jego ręka była równie ciężka dla najstarszych i największych spośród nas jak i dla najmłodszych.

Kiedy później wróciłam myślami do rozmowy z matką, w trakcie kąpieli sług w ciepłych basenach - tym, którzy w moim przekonaniu nie dość energicznie dokonywali ablucji, osobiście nacierałam plecy piaskiem - żałowałam pochopnych słów. Prawdopodobnie pogrzebałam swoje szansę na jarmark na okres całego Obrotu i niepotrzebnie ją uraziłam.

To nie matki wina, że jej córki nie wyróżniały się urodą. Była dość przystojną kobietą nawet teraz, w pięćdziesiątym Obrocie życia, i to pomimo nieustannych cięż, które zaowocowały dziewiętnościorgiem żyjącego potomstwa. Lord Tolocamp także uchodził za pociągającego mężczyznę. Wysoki, pełen życia, męski. „Tabun z Fortu” - jak nazywali nas uczniowie harfiarzy - nie stanowił jedyne dowodu na jego siły witalne. Szczególną goryczą napawało mnie to, że większość moich sióstr przyrodnych była zdecydowanie ładniejsza od cór z prawego łoża, z wyjątkiem Silmy, najstarszej po mnie wśród rodzeństwa.

Z prawego czy z nieprawego łoża, wszystkie byłyśmy wysokie i mocno zbudowane. Bardziej to pasuje do chłopców. Najmłodsza siostra, Lilia, w dziesiątym Obrocie miała ładniejsze rysy twarzy niż pozostałe dziewczyny, a mogła jeszcze wypięknąć. Gęste czarne rzęsy Campena, Mostara, Dorala, Theskina, Gallena i Jessa, przy naszych rzadkich, były czystym marnotrawstwem; do tego wielkie ciemne oczy przy naszych jaśniejszych, niemal wodnistych, proste zgrabne nosy wobec mojego, który trudno by nazwać inaczej jak dziobem. Bracia na głowach mieli gęstwę kędziorów. My, dziewczęta, także miałyśmy gęste, grube włosy; moje przy rozczesywaniu sięgały poniżej pasa i były czarne jak noc, ale w związku z tym moja cera robiła wrażenie chorobliwie bladej. Siostry w zbliżonym do mego wieku dotknęło przekleństwo burych, ni to brązowych, ni to czarnych włosów, których nie dawało się rozjaśnić żadnymi ziołami. Owa niesprawiedliwość losu zdawała mi się katastrofą. Mężczyźni o przeciętnym wyglądzie mogli świetnie się żenić, zwłaszcza że Obieg Czerwonej Gwiazdy miał się ku końcowi i pan Warowni Fort starał się rozszerzyć osadnictwo. Ale dla przeciętnie brzydkich kobiet brakowało mężów.

Od dawna już porzuciłam romantyczne rojenia młodych dziewcząt, a nawet nadzieję, że pozycja ojca zapewni mi to, czego nie mogła zapewnić moja nieciekawa powierzchowność, ale nadal bardzo lubiłam podróżować. Uwielbiałam zamęt i atmosferę swobody na jarmarkach. Tak bardzo pragnęłam uczestniczyć w pierwszym jarmarku Alessana, nowo obranego pana Warowni Ruatha. Pragnęłam zobaczyć choćby z daleka mężczyznę, który zyskał miłość i uwielbienie Suriany z Warowni Mgieł; Suriany, której rodzice mnie wychowywali; Suriany, mojej najdroższej przyjaciółki, obdarzonej z łaski losu wszystkim

tym, czego mi brakowało. Alessan nie mógł rozpaczać bardziej po jej śmierci niż ja, która życie Suriany stawiałam ponad swoje.

Nie przesadzę twierdząc, że wraz z nią umarła jakaś część mojej osoby. Rozumiałyśmy się bez zbędnych wyjaśnień, jak smok i jeździec, jednocześnie wybuchaliśmy śmiechem, wypowiadałyśmy słowa, które druga miała na końcu języka, w lot wyczuwałyśmy swoje humory, a okres miałyśmy w tym samym czasie co do minuty, bez względu na dzielącą nas odległość.

Za owych szczęśliwych Obrotów w Warowni Mgieł wydawałam się nawet ładniejsza, jakby opromieniona wdziękiem Suriany. W jej towarzystwie stawałam się odważniejsza. Zmuszałam swojego biegonia, aby szedł w jej ślady po najniebezpieczniejszych ścieżkach. Przy wściekłym wietrze nie bałam się żeglować wraz z nią w małym słupie po rzece i po morzu. Na tym nie kończyły się niezwykle cechy Suriany. Śpiewała najłodszy czystym sopranem, do którego mój alt stanowił znakomity akompaniament. W Forcie mój głos nie robi na nikim specjalnego wrażenia. Kilkoma śmiałymi pociągnięciami potrafiła naszkicować rysunek; haftowała tak pięknie, że matka nie wahała się powierzać jej delikatnych jak pajęczyna tkanin. Dzięki jej radom nabrałam takiej biegłości w szyciu, że doczekałam się później mrukliwych pochwał ze strony matki. W jednej tylko dziedzinie prześcignęłam Surianę, ale nawet moje uzdrowicielskie zdolności nie wystarczyły, aby wyleczyć jej złamany kręgosłup. Nie mogłam także, córka Warowni Fort, wstąpić do Cechu Uzdrowicieli, aby pobierać nauki.

A teraz zadręcza mnie własna bezmyślność i zawziętość okazana tamtego dnia, kiedy niezdolna przełknąć własną dumę i uczucie zawodu, odmówiłam szczęśliwszym siostronom słowa pożegnania. Okazało się, że szczęście opuściło je wówczas, gdy pozwolono im udać się na jarmark do Ruathy. Ale kto owego świetlistego poranka mógł przewidzieć straszną zarazę i ich nieszczęsny los?

Doszła nas wiadomość o dziwnym stworzeniu znalezionym przez mieszkańców wybrzeża. Ojcu zależało na tym, aby wszystkie jego dzieci rozumiały kod, w jakim przysyłano informacje wybijając rytmy na bębnie. Mieszkając tuż obok siedziby Cechu harfiarzy, wiedzieliśmy niemal wszystko o ważniejszych wydarzeniach na Północnym Kontynencie. Nie wolno nam było jednak dzielić się z innymi posiadaną wiedzą. Chodziło o to, by pewne wiadomości pozostały w tajemnicy. Tak więc dowiedzieliśmy się o odkryciu niezwykłego zwierzęcia z rodziny kotowatych w Keroon. Nie skojarzyłam początkowo tej informacji z późniejszą prośbą o przysłanie mistrza Capiama w celu rozpoznania choroby atakującej mieszkańców Igen. Ale wybiegam naprzód z opowieścią...

Zatem moi rodzice i cztery siostry - Amilla, Mercia, Merin i Kista - wyruszyli w podróż poprzez północną część obszaru podległego Warowni Fort. W drodze do Ruathy, gdzie miało dopełnić się fatalne przeznaczenie, ojciec zamierzał skontrolować kilku swoich podwładnych. A ja, która we własnym przekonaniu zasługiwałam na tę podróż, zostałam w domu.

Na szczęście udało mi się zejść z drogi Campenowi. Byłam pewna, że wyznaczyłby mi dodatkowe obowiązki. Campen uwielbia zwać robotę na innych, co pozwala mu zachować energię na krytykowanie wyników cudzej pracy i udzielanie cennych rad. Bardzo przypomina ojca. Kiedy ojciec umrze, doprawdy, nie odbije się to na sposobie zarządzania Warownią, a lista moich obowiązków na pewno nie ulegnie skróceniu.

Zbieranie ziół, korzeni i innych leczniczych roślin należało do obowiązków dziewcząt. Nie czekałam zatem, aż Campen coś dla mnie wymyśli. Tylko że Campen nie wiedział, że nie zbiera się ziół zimą. Nikomu nie przyszło jednak do głowy, aby na mnie donieść. Na tak zwaną wyprawę po zioła zabrałam ze sobą Lilię, Nie, Marę i Gaby. Wróciłyśmy z wczesną rzeżuchą i dziką cebulą, a Gaby ku własnemu zaskoczeniu upolowała zręcznym rzutem dzidy dzikiego whera. Owe łupy wymusiły niechętną pochwałę Campena przy wieczornym posiłku. Narzekał przy tym na nieudolność służby, która sprawia się jako tako jedynie pod nadzorem. Tak często słyszałam to samo z ust ojca, że aż spojrzałam znad kości, którą właśnie obgryzałam, aby upewnić się, czy na pewno Campen wypowiada te słowa.

Nie pamiętam, czym zajmowałam się przez parę następnych dni. Nie zdarzyło się nic szczególnego, nie licząc wezwań mistrza Capiama, które zlekceważyłam. Gdybym wiedziała, co się dzieje, i tak niczego by to nie zmieniło. Piąty dzień wstał jasny i pogodny. Na tyle już otrząsnęłam się z rozczarowania, że chciałam, by pogoda w Warowni Ruatha była równie ładna. Wiedziałam, że siostry nie mają żadnych szans, by ściągnąć na siebie uwagę Alessana, ale w takim tłumie mogła trafić się rodzina, która spełniłaby oczekiwania ojca co do zamążpójścia córek. Mogły znaleźć niezłe partie. Zwłaszcza teraz, gdy kończył się niebezpieczny okres i panowie Warowni szykowali się do kolonizacji nowych terenów. Nie tylko lord Tolocamp zamierzał rozszerzyć swoje włości i objąć w posiadanie więcej ziemi ornej. Gdyby tylko zmienił wymagania co do związków małżeńskich swoich dzieci!

Miło mi wspomnieć, że zjawił się raz kandydat do mojej ręki. Nie miałabym nic przeciwko założeniu siedziby „na surowym korzeniu”, nawet gdyby trzeba ją było wyrąbać w skalnej ścianie. Za to rządziłabym się wedle własnej woli. Garben pochodził z godnego rodu Tillek. Nawet mi się spodobał, ale w oczach ojca nie okazał się odpowiedni. Mimo że Garben pochlebił mi powtarzając swoją ofertę dwa Obroty z rzędu - za każdym razem donosząc o postępach rozbudowy swojej skromnej siedziby - ojciec go odrzucił. Gdyby lord Tolocamp

zechciał zapytać o moje zdanie, wyszłabym za Garbena. Amilla twierdziła złośliwie, że poleciałabym na każdego i zgodziłabym się na każde warunki w mojej sytuacji. Może i miała rację, ale Garben naprawdę mi się podobał. Przewyższał mnie o pół głowy. To było pięć Obrotów temu.

Suriana wiedziała o wszystkim. Mówiła wiele razy, że może uda się jej namówić lorda Leefa, aby przystał na nasz wspólny, dłuższy pobyt w Ruathcie. Sądziła, że gdy zajdzie w ciążę, lord przystanie na jej prośbę. Ale Suriana umarła i zniknął nawet cień nadziei. Zrzucił ją narowisty biegoń, na którym pędziła jak oszalała. Wyznała mi niedługo przed śmiercią, że Alessanowi udało się wyhodować odmianę zdumiewająco zręcznych biegoni. Jego ojciec polecił mu, aby postarał się uzyskać silniejsze, mogące podolać różnym zadaniom zwierzę. Wiem tylko tyle co inni; Suriana złamała w wyniku upadku kręgosłup i zmarła nie odzyskawszy przytomności mimo wysiłków pośpiesznie wezwanego mistrza uzdrowicieli. Mistrz Capiam, który zazwyczaj chętnie omawiał ze mną zagadnienia medyczne, uznając mnie za osobę na tyle kompetentną, na ile pozwalała moja ranga, w tej sprawie zachował znaczące milczenie.

Rozdział II

3.11.43-1541

Nowa tragedia Ruathy rozpoczęła się dokładnie w tej samej godzinie, która przyniosła mi wieść o śmierci Suriany. Z wieży siedziby Cechu Harfiarzy bębny przekazały polecenie mistrza Capiama o wprowadzeniu kwarantanny. Odmierzałam właśnie korzenie dla kucharza; tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymałam drżenie rąk i nie rozsypałam przypraw, zachowałam spokój. Kucharz nie rozumiał mowy bębnowej, a ja nie chciałam go denerwować, licząc na smaczny posiłek wieczorny. Wydałam mu tyle przypraw, ile zażądał, starannie zamknęłam słoje i umieściłam go na zwykłym miejscu w szafce. Tę samą wiadomość powtórzono, gdy dochodziłam do wyższego poziomu Warowni. Słyszałam, jak Campen miotał się w swoim biurze żądając wyjaśnień.

Na szczęście tylu ludzi spieszyło do Cechu Harfiarzy, że nikt me zwrócił uwagi na moje dziwaczne zachowanie. Działalnicy Cechu zapelnili zaniepokojeni uczniowie i czeladnicy harfiarscy i uzdrowicielscy. Byli jak zawsze zdyscyplinowani; nie wpadali w panikę, chociaż wyczuwało się powszechny niepokój i niepewność.

Mistrza Capiama wzywała nie tylko Warownia Hodowców Keroon i Warownia Igen. Domagano się również jego przybycia w Telgarze; krążyły słuchy, że zabrano go na grzbiecie smoka na jarmark w Warowni Ista, a stamtąd, na rozkaz lorda Ratoshigana, do Południowego

Boli. Towarzyszył mu nie kto inny jak Sh'gall, pan Weyru Fort, na spiżowym Kadithcie.

W chwili gdy na schodach pojawił się mistrz Fortine w towarzystwie czeladniczki Desdry z Cechu Uzdrawicieli oraz mistrzów Brace'a i Dungrine'a z Cechu Harfiarzy, na placu zapadła cisza.

- Poruszyła was wiadomość przesłana przez bębny - zaczął mistrz Fortine chrząknawszy. Świetnie zna się na teorii sztuki uzdrawiania, ale brak mu polotu mistrza Capiama. - Musicie zdać sobie sprawę z tego, że mistrz Capiam nie wydałby takiego zarządzenia - niepotrzebnie podniósł głos do pisku - bez koniecznej potrzeby. Wszyscy harfiarze i uzdrawiacze, którzy uczestniczyli w jarmarkach, mają stawić się natychmiast u czeladniczki Desdry w Małej Sali Uzdrawiaczy. Pozostałych proszę o zgromadzenie się w Głównej Sali. Chcę do was przemówić. Mistrz Brace...

Mistrz Brace wystąpił naprzód poprawiając pas i odchrząkując.

- Mistrz Tirone z ramienia Cechu pełni funkcję mediatora w sporze, jaki ma miejsce w kopalniach. Zgodnie ze zwyczajem ja, starszy mistrz, przejmuję jego władzę do czasu, gdy wróci do Cechu.

- Ma nadzieję, że mistrz Tirone zostanie zatrzymany z powodu kwarantanny albo zarazi się i umrze... - mruknął ktoś stojący obok mnie. Sąsiedzi uciszyli go natychmiast, nie byłam więc w stanie wypatrzeć go w tłumie.

Tirone pełnił kiedyś, zanim został Mistrzem Harfiarzy, funkcję wychowawcy dzieci lorda Tolocampa, toteż znałam go dobrze. Miał swoje wady, ale słuchanie jego głębokiego aksamitnego głosu sprawiało przyjemność bez względu na to, co próbował zaszczepić niepojętym lub nie zainteresowanym umysłem wychowanków. Nie wybrano by go na Mistrza Cechu, gdyby nie wyróżniał się czymś szczególnym poza pięknie brzmiącym barytonem. Powiadano, że misje mediacyjne Tirone'a kończyły się porażką jedynie wówczas, gdy chorował na zapalenie krtani. Poza tym zawsze udawało mu się przekonać oponentów do swojego punktu widzenia.

Oczywiście, kwestią dyplomacji ze strony Mistrza Harfiarzy było zachowanie poprawnych stosunków z panem Warowni; sam Cech cieszył się bowiem autonomią. Mistrzowi Tirone udawało się to znakomicie.

Wydawało mi się dziwne, że mistrz Brace wystąpił z takim oświadczeniem - i to, że Desdra i Fortine reprezentowali uzdrawiaczy. Gdzie podział się mistrz Capiam? Spychanie na kogoś innego żmudnej roboty zupełnie nie leżało w jego stylu. Kiedy harfiarze i uzdrawiacze ruszyli ku wskazanym pomieszczeniom, wymknęłam się stamtąd niewiele mądrzejsza, za to bardziej niespokojna.

Matka, cztery siostry i ojciec zostali uwięzieni w Ruathcie. Tym bardziej żałowałam teraz, że nie wzięli mnie ze sobą. Przydałabym się jako pielęgniarka. Do opieki nad chorymi przejawiałam niewątpliwy talent, prawie nie wykorzystywany poza rodziną. Zganiłam się za takie myśli i celowo poszłam na niższy poziom Warowni, gdzie znajdowały się magazyny.

Jeśli owa choroba wymagała kwarantanny, z pewnością przyda się przejrzeć zapasy. Podczas gdy Cech Uzdrowicieli zawsze miał na składzie większość ziół i leków, Warownie i inne Cechy same musiały dbać o zaspokajanie swoich potrzeb. Teraz mogą się okazać potrzebne rzadkie leki ziołowe, których zazwyczaj nie gromadzi się w większej ilości. Nakrył mnie tam Campen. Ruszył w moją stronę mrużąc z irytacją.

- Rill, co tam się dzieje? Czy dobrze usłyszałem, że chodzi o kwarantannę? Czy to oznacza, że ojciec utknął w Ruathcie? Co my mamy teraz zrobić?

Przypomniał sobie, że występując w roli pana Warowni nie powinien prosić o radę podwładnych, a zwłaszcza siostry. Odchrząknął hałaśliwie i wypiął pierś przybierając surowy wyraz twarzy, który mnie tylko rozbawił.

- Czy mamy dostateczny zapas ziół?

- W rzeczy samej, tak.

- Nie stawiaj się, Rill. Nie teraz - zmarszczył gniewnie brwi. - Zabierałam się właśnie do przejrzania zbiorów, bracie, ale mogę bez obawy stwierdzić, że mamy więcej, niż będziemy potrzebowali.

- Znakomicie. Nie zapomnij dostarczyć mi pisemnego wykazu.

Poklepał mnie po karku jak ulubioną sukę i wyszedł, wciąż pomrukując. Uznałam sceptycznie, że nie bardzo wie, jak ma się zachować w obliczu katastrofy.

Czasami przygnębiało mnie marnotrawstwo w naszych magazynach. Wiosną, latem i jesienią zbieramy, konserwujemy, solimy, suszymy, marynujemy i gromadzimy więcej żywności, niż Warownia potrzebuje. Za każdym Obrotem, mimo wysiłków matki, pozostają nie zużyte wcześniejsze zapasy i w ten sposób rezerwy rozrastają się nadmiernie. Węże i robaki dobierają się do nich w ciemnych zakamarkach. My, dziewczęta, często dokonujemy porządków szmuglując część zasobów, by rozdać je rodzinom znajdującym się w potrzebie. Ojciec i matka nie uznają dobroczynności, nawet jeśli plony zawiodą bez niczyjej winy. Rodzice powtarzają zawsze, że do ich uświęconych tradycją obowiązków należy zaopatrywanie całej Warowni w czasach kryzysu, tyle że nie zdradzili nigdy, co słowo „kryzys” oznacza w ich pojęciu. I tak oto ilość nie zużytej, nie nadającej się do spożycia żywności stale wzrasta.

Zioła, wysuszone i odpowiednio przechowywane, zachowują moc przez wiele Obrotów. Półki

uginają się od schludnych torebek, pęczków łądyg, słoików z nasionami i lekami. Korzenie na poty, gorączkę i wszystkie tradycyjne leki gromadzi się, odkąd wprowadzono Dzienniki. Żywokost, tojad, tymianek, hyzop: dotykałam po kolei wszystkiego, zdając sobie sprawę, że przy takich zapasach Warownia podoła leczeniu blisko dziesięciu tysiącom okolicznych mieszkańców. Działającego odurzająco fellis zebraliśmy w tym roku w niesamowitej ilości. Kto wie, jakie będą przyszłe potrzeby? Tojadu także nie brakowało.

Obfitość medykamentów sprawiła mi ogromną ulgę. Już miałam opuścić magazyn, gdy zerknęłam na półkę, gdzie trzymano Dzienniki - zawierały one recepty na rozmaite mikstury oraz notatki tych wszystkich osób, które zajmowały się przyrządzaniem mieszanek ziołowych, leków i toników.

Otworzyłam kosz świetlny nad biurkiem i mocowałam się przez chwilę ze stosem ksiąg, chcąc wydobyć najstarszą z samego dołu. Może ta choroba pojawiła się wcześniej, za któregoś Obrotu od momentu Przejścia. Księgę pokrywał kurz, a okładka rozpadała się w rękach.

Skoro matka, która tak dbała o porządek, nie zatroszczyła się o odkurzenie tych rękopisów, z pewnością nie zauważy szkody. Tomiszcze po otwarciu zapachniało stęchlizną z głębi czasów. Obchodziłam się z nim ostrożnie, nie chcąc uszkodzić go jeszcze bardziej. Mogłam sobie oszczędzić trudu. Atrament wyblakł tak, że na skórze pozostały tylko linearne wzory przypominające roje robaczków. Ciekawa byłam, po co trzymano te woluminy, ale mogłam sobie wyobrazić reakcję matki na propozycję pozbycia się czcigodnych zabytków.

Przyjęłam wreszcie kompromisowe wyjście i wyjęłam tom z wciąż czytelną nalepką: „Piąty Obieg”.

Jacyż to nudziarze byli z moich przodków! Przyjście Sima, który powiedział mi, że szef kuchni pilnie mnie poszukuje, wybawiło mnie z tej sytuacji. No tak, gdy matka wyjechała, musiał prędzej czy później zwrócić się do mnie. Zatrzymałam Sima, któremu i tak się nie spieszyło z powrotem do zmywania naczyń i naskrobałam liścik do czeladniczki Desdry zawiadamiając ją, że może dowolnie korzystać z aptekarskich zasobów Warowni Fort. Miałam zamiar zachęcić ją do tego jak najszybciej, gdyż wątpiłam, aby matka zgodziła się na podobną hojność po powrocie.

Wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, w jak wielkim stopniu lady Pendra narażona jest na tę chorobę. Sparaliżował mnie strach, dopiero chrząknięcie Sima przywróciło mnie do świadomości. Uśmiechnęłam się, aby mu dodać otuchy. Nie musiałam go obciążać swoimi głupimi obawami.

- Zanieś to do Cechu Uzdrowicieli, przekaz czeladnicze Desdrze do rąk własnych!

Rozumiesz? Nie wolno ci tego wręczyć pierwszej lepszej osobie w barwach uzdrowiacza.

Sim pokiwał głową uśmiechając się blado i mruczając zapewnienia, że rozumie dobrze.

Rozmawiałam z kucharzem, którego brat mój właśnie zawiadomił, aby przygotował się na nieokreśloną liczbę gości. Nie miał pojęcia, co robić, jako że przystąpiono już do przygotowywania wieczornego posiłku.

- Będzie zupa, rzecz jasna, jedna z tych twoich wspaniałych, pożywnych zup mięsnych, Felimie, i z dwanaście wherrów z ostatniego polowania. Wisiały już dość długo. Są znakomite na zimną porę. Dodaj więcej korzeni. I ser. Mamy mnóstwo sera.

- Dla ilu osób? - Felim troszczył się o swój interes. Matka tylekroć zarzucała mu marnotrawstwo, że chcąc się zabezpieczyć notował, ile osób jadło posiłki i co im podawano.

- Dowiem się, Felimie.

Campen spodziewał się, że wszyscy okoliczni mieszkańcy przybędą, aby prosić go o radę. Warownia musiała zatem przygotować się na przyjęcie tłumu gości. Jednakże bębny przekazały nakaz bezwzględnej kwarantanny i wątpliwe, żeby osadnicy, choćby najbardziej zaniepokojeni, odważyli się go złamać. Ci, którzy mieszkali najbliżej, mogli rzeczywiście się zjawić, jako że uważali się za podległych Warowni. Powstrzymałam się od uwagi, że większość z nich wiedziała dużo lepiej niż Campen, jak sobie radzić w okresach zagrożenia. Nie chciałam go denerwować.

Wróciłam do Felima i poradziłam mu, żeby przygotował tylko trochę więcej porcji, ale zrobił za to więcej kłahu, podał nowy ser i więcej herbatników. Przeglądając składy wina zauważyłam, że dość go było w napoczętych już beczkach.

Udałam się potem do świetlicy na drugim piętrze. Ciotki i inne osoby pozostające na utrzymaniu Warowni znały już treść przekazu i były bardzo poruszone. Skłoniłam je, aby puste pokoje przekształciły w ambulatoria. Napelnianie czystych powłok słomą dzięki czemu zyskamy prowizoryczne materace nie zmęczy ich zaudto i da poczucie, że są użyteczne. Pochwycałam spojrzenie stryja Munchauna. Udało nam się niepostrzeżenie wymknąć na korytarz.

Munchaun był najstarszym spośród żyjących braci ojca i moim ulubieńcem. Dopóki nie doznał obrażeń w wyniku upadku ze skały, przewodził wszystkim polowaniom. Miał tyle zrozumienia dla ludzkich słabości, tyle humoru i skromności, że zawsze zastanawiałam się, dlaczego na pana Warowni wybrano mojego ojca, a nie Munchauna, który przewyższał go zaletami charakteru.

- Widziałem, jak wychodziłaś z Cechu. Co się dzieje?

- Capiam padł ofiarą choroby, a Desdra prosi uzdrowiaczy, aby leczyli objawowo.

Uniósł łukowate brwi i uśmiechnął się krzywo.

- Nie wiedzą zatem, co to jest, tak? - Skinęłam głową. - Przejrzę Dzienniki. Muszą przydać się na coś poza tym, że dostarczają zajęcia nam, nadliczbowym starcom.

Chciałam zaprzeczyć, ale uśmiechnął się wyrozumiale nie czekając na wyjaśnienia.

Wieczorem przybyło więcej osadników, niż przewidywałam. Przyszli także mistrzowie, z wyjątkiem tych z Cechu Harfiarzy i Uzdrowicieli. Mieliśmy ich czym ugościć. Do późna w nocy dyskutowali o tym, co się stało i jak przemieszczać zapasy z Warowni do Warowni bez łamania kwarantanny.

Nalałam ostatnią kolejkę kłahu, choć myślę, że pił tylko Campen. Potem wycofałam się do swego pokoju, gdzie czytałam stare Dzienniki tak długo, aż oczy same mi się zamknęły.

Rozdział III

3.12.43

Kiedy usłyszałam bębny, wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz, gdzie wyraźniej słychać było uderzenia. Wiadomość mnie przeraziła. Zanim przebrzmiała, nadeszła inna - z południa. Ratoshigan domagał się pomocy z Cechu Uzdrowiaczy. Było bardzo wcześnie jak na przesyłanie wiadomości za pomocą bębnow. Zostawiłam drzwi otwarte i przywdziałam drugą tunikę i spodnie. Opasałam się ciężkim łańcuchem z kluczami Warowni. Włożyłam buty, gdyż miękkie obuwie używane w domu nie zabezpieczało przed zimnem ciągnącym od kamiennych posadzek niższego poziomu i nierówności podwórca. Uderzenia bębnow donosiły o nowych przypadkach choroby w Warowni Telgar, Ista, Igen i Południowy Boli. Przekazywały prośbę o wsparcie z odległych Warowni i Cechów Uzdrowicieli. Zgłaszali się ochotnicy i napływały oferty pomocy z Benden, Lemos, Bitry, Tillek i Wysoczyzn nie dotkniętych, jak dotąd, nieszczęściem. To mnie podniosło na duchu. Perneńczycy jak zwykle stanęli na wysokości zadania.

Przebyłam połowę drogi przez Pola, gdy nadano wiadomość z Weyru Telgar: zmarło kilku jeźdźców, a w związku z tym odnotowano wypadki samobójstw wśród smoków. Mijając idących do pracy parobków starałam się nie okazywać poruszenia, uśmiechałam się, kiwałam głową na powitanie i szłam tak szybko, aby nie śmiano mnie zatrzymywać. Może po prostu mieli dość złych wiadomości na dziś. Ledwie przebrzmiało echo ponurych wieści z Telgaru, gdy odezwała się Ista.

Dlaczego przyszło mi do głowy, że jeźdźców smoków choroba się nie ima, nie umiem powiedzieć. Na grzbietach smoków wydają się odporni na ciosy, niewrażliwi nawet na Nici -

choć wiedziałam doskonale, że jeźdźcy i smoki często doznawali poważnych obrażeń podczas Opadów - czy drobniejsze dolegliwości i choroby nękające pospolity ludek. Przypomniałam sobie jednak, że jeźdźcy przelatywali z miejsca na miejsce, a jarmarki w Warowniach Ista i Ruatha odbyły się tego samego dnia zwabiając przybyszów z górskich stron. Jarmarki w dwóch warowniach i zaraza w obu! Jednakże Ista leżała daleko na wschodzie. W jaki sposób choroba mogła rozwinąć się w dwóch tak odległych punktach?

Przyspieszyłam kroku i znalazłam się wkrótce na dziedzińcu Cechu Harfiarzy. Wszyscy byli już na nogach. Połowa mieszkańców kręciła się przy biegoniach, osiodłanych i objuczonych przed długą podróżą. Zwierzęta nosiły uprząż w barwach Cechu Uzdrawiaczy.

Nad naszymi głowami nadal rozbrzmiewała ponuro mowa bębnow. Mistrz Fortine przysyłał informacje z Cechu Uzdrawicieli do Warowni i Weyru. Gdzie zatem podziewał się mistrz Capiam?

Z płaskich schodów siedziby Cechu zbiegła Desdra. Oburącz dźwigała juki. Za nią pędzili, równie obciążeni, dwaj uczniowie. Kobieta wyglądała tak, jakby spędziła kilka bezsennych nocy. Na jej twarzy, zwykle łagodnej i opanowanej, widniało napięcie i rozdrażnienie. Obeszłam podwórzec chcąc znaleźć się na jej drodze.

- Nie, nie, bez zmian - odezwała się do jednego z czeladników. - Choroba przebiega u Capiama tak samo jak u każdego innego. Stosujcie te leki przy pierwszych objawach. To jedyna rada, jakiej mogę wam teraz udzielić. Słuchajcie mowy bębnow. Będziemy używać szyfrów przewidzianych na stan wyjątkowy. Nie wysyłajcie nie szyfrowanych przekazów.

Cofnęła się, gdy uzdrawiacze zaczęli wyprowadzać biegonie z dziedzińca, i wtedy podeszłam bliżej.

- Czeladniczko Desdro...

Odwróciła się żywo. Nie rozpoznała mnie.

- Jestem Nerilka. Jeśli zasoby Cechu skurczą się w związku z potrzebami, zawiadam mnie, proszę. - Położyłam rękę na piersi podkreślając powagę swoich słów. - Mamy dość medykamentów, aby leczyć połowę planety.

- Och, nie ma powodu do niepokoju, lady Nerilko - zaczęła siląc się na poważny wyraz twarzy.

- Bzdura - powiedziałam ostrzej, niż zamierzałam, i wtedy spojrzała na mnie uważnie. - Znam wszystkie szyfry z wyjątkiem tego, którym posługuje się Mistrz Harfiarzy, a i tego mogę się domyślić. - Słuchała mnie teraz z wyteżoną uwagą. - Kiedy czegoś zabraknie, pytajcie o mnie w Warowni. Albo jakby potrzebna była jeszcze jedna pielęgniarza...

Ktoś ją zawołał. Skinąwszy krótko głową odeszła. A potem bębny ze wschodu rozpoczęły

nadawanie złych wiadomości z Keroon. Dowiedziałam się, że umierały tam setki ludzi, a cztery małe górskie osady w ogóle nie odpowiadały na głos bębnow.

Kiedy wracałam, do mych uszu dobiegł ryk smoka. Poczułam chłodny dreszcz. Czego smok mógł właśnie teraz szukać w Forcie? Uniosłam poły tuniki i pognałam przed siebie. Masywne drzwi Warowni otwarto na oścież. Campen stał na szczycie schodów z ramionami uniesionymi w geście zdumienia i niedowierzania. Poniżej na schodach skupiła się gromadka mistrzów i mieszkańców Warowni; wszyscy spoglądali w kierunku błękitnego smoka kołującego nad dziedzińcem. Stwór wydawał mi się jakby wypłowiwały. Potem patrzyłam już tylko na ojca, który wspinał się pod górę rozsuwając na boki stojących mu na drodze ludzi.

- Zarządzono kwarantannę! Śmierć zbiera żniwo na kontynencie. Nie słyszeliście wiadomości? Czyście ogłuchli, że gromadzicie się tak trumnie? Rozejść się! Wszyscy do domu! Nie opuszczajcie domów bez względu na wszystko! Rozejść się! Rozejść się!

Pchnął najbliższego osadnika w dół, w stronę biegoni, które służba odprowadzała właśnie do stajni. Dwaj mistrzowie wpadli na siebie usiłując uniknąć zetknięcia się z wymachującym ramionami lordem Tolocampem.

Dziedziniec opustoszał błyskawicznie, kurz wzbity przez galopujące wierzchowce odjeżdżających zaczął już opadać. Błękitny smok ryknął znowu, wzmagając jeszcze zamieszanie. A potem skoczył ku niebu zanurzając się w przestrzeń „pomiędzy”, zanim zdążył przelecieć nad wieżą siedziby Cechu Harfiarzy.

Ojciec odwrócił się. Byliśmy w komplecie, bo braci zwabiło pojawienie się smoka.

- Czyście poszaleli, żeby gromadzić ludzi? Czy do żadnego nie dotarło ostrzeżenie Capiama? W Ruathcie ludzie mrą jak muchy!

- To co ty tutaj robisz, panie? - odezwał się beczelnie mój głupawy braciszek Campen.

- Coś ty powiedział?! - ojciec wyprostował się jak smok, który ma zamiar zionąć ogniem. Podziałało to nawet na Campena. Cofnął się wystraszony wojowniczą postawą rozwścieczonego rodzica. Nie rozumiem, jak to się stało, że nie oberwał.

- Ale... ale... ale Capiam mówił o kwarantannie...

Ojciec uniósł gwałtownie swą piękną głowę. Rozłożył ramiona zwracając dłonie na zewnątrz, aby nie dopuścić za blisko żadnego z nas. I tak nie mieliśmy zamiaru podchodzić.

- Od tej chwili poddaję się kwarantannie. Zamknę się w swoich kwaterach i nikt - rzekł grożąc nam palcem - nie śmie zbliżyć się do mnie, dopóki wszystko to nie minie, a ja nie przekonam się, że jestem czysty.

- Czy to zaraźliwa choroba? W jakim stopniu? - usłyszałam swój własny głos. Musieliśmy ustalić fakty.

- W żadnym wypadku nie narażałbym własnej rodziny na niebezpieczeństwo.

Na widok jego godnej miny mało nie parsknęłam śmiechem. Żadne z nas nie śmiało dopytywać się o matkę i siostry.

- Wiadomości mają być wsuwane przez szparę pod drzwiami, a jedzenie zostawiane w holu. To wszystko.

Odsunawszy nas na bok, wkroczył do Warowni. Słyszeliśmy odgłos jego ciężkich kroków na kamiennych płytach posadzki. Z odrętwienia wyrwał nas dopiero czyjś stłumiony szloch.

- Co z matką? - zapytał Mostar z oczyma rozszerzonymi niepokojem.

- No tak, co z matką? - odezwałam się. - Nie stójmy tu i nie róbmy z siebie widowiska.

Skinęłam głową w stronę drogi, ku grupkom ludzi, których zainteresowanie przyciągnęło przybycie smoka a potem scenka na stopniach Warowni.

Ruszyliśmy zgodnie do wnętrza. Nie byłam jedyną, która spojrzała na zamknięte teraz drzwi prowadzące do komnat pierwszego poziomu.

- To nie w porządku - zaczął Campen opadając bezwładnie na najbliższe krzesło. Wiedziałam, że myśli o szybkim powrocie ojca.

- Potrafiłaby zająć się nami w chorobie - powiedział Gallen ze strachem w głosie.

- Ja też to potrafię, tego mnie uczyła - ucięłam krótko. Przeczynałam już wtedy, że matka nigdy nie wróci. Nasza rodzina nie mogła pozwolić sobie na panikę, zwłaszcza publicznie. - Jesteśmy twardzi, Gallenie. Wiesz o tym dobrze. W życiu nie chorowałeś.

- Przechodziłem ospę.

- Tak jak my wszyscy - stwierdził szyderczo Mostar, ale pozostałym zrobiło się lżej na duchu.

- Nie powinien łamać kwarantanny - rzekł w zamyśleniu Theskin. - Dał zły przykład. Alessan powinien go zatrzymać w Ruathcie. Też o tym myślałam, ale ojciec miał tak apodyktyczne usposobienie, że nawet starsi wiekiem Lordowie Warowni stosowali się do jego życzeń. Nie spodobało mi się przypuszczenie, że Alessanowi zabrakło stanowczości, nawet jeśli była to kwestia kurtuazji wobec ojca. Kwarantanna to kwarantanna!

Tej nocy szybko zasnęłam, ale pełna niepokoju obudziłam się bardzo wcześnie. Nikt ze służby nie krzątał się jeszcze przy swoich zajęciach. Podniosłam kartkę spod drzwi pokoju ojca. Omal jej nie podarłam po przeczytaniu. Och, domagał się zapasu ziół przeciwgorączkowych, wina i żywności. To było zrozumiałe, ale oprócz tego poinstruował Campena, że ma sprowadzić Anellę „wraz z rodziną”, aby - jak się wyraził - znaleźli bezpieczne schronienie w Warowni. Zostawił zatem moją matkę i siostry w Ruathcie narażając je na niebezpieczeństwo, sam zaś poleca najstarszemu synowi i dziedzicowi, aby zadbał o jego kochankę! A także o dzieci, które z nią spłodził.

Och, tak naprawdę nigdy z tego powodu nie wybuchł skandal. Matka zawsze udawała, że o niczym nie wie. Nabyła doświadczenia przez Obroty życia z ojcem. Raz podsłuchałam, jak mówiła do jednej z ciotek, że nie ma nic przeciw temu, aby małżonek dawał jej od czasu do czasu święty spokój. A jednak nie lubiłam Anelli. Wdzięczyła się bezwstydnie, a jeśli ojciec akurat miał jej dosyć, z równym zapałem czepiała się ramienia Mostara. W gruncie rzeczy, podejrzewam, że spodziewała się wyjść za mąż za mojego brata. Tęskniłam za chwilą, kiedy jej oznajmię, że Mostar ma całkiem inne plany na przyszłość. Swoją drogą, chciałabym wiedzieć, kto właściwie jest ojcem jej najmłodszego syna - lord Tolocamp czy Mostar.

Zganiłam się za te brzydkie myśli. Tak czy siak, malec zdradzał silne podobieństwo rodzinne. Nożem, który noszę u pasa, rozdzieliłam pasek skóry na dwie części i jedną - tę z poleceniem dla Campena - wsunęłam pod jego drzwi. Drugą część zabrałam do kuchni, gdzie zaspani słudzy zwijali właśnie swoje posłania. Moje pojawienie się wywołało niepewne uśmiechy i lekki popłoch. Przybrałam pogodny wyraz twarzy, żeby ich uspokoić, i poinstruowałam najbardziej rozgarniętych, co mają przygotować na poranny posiłek dla lorda Tolocampa.

Campen wpadł na mnie w sali na dole. Wymachiwał niedbale kilkoma paskami skóry z poleceniami od ojca.

- Co mam z tym zrobić, Rill? Trudno mi wyjechać i przywieźć ją tutaj nie kryjąc się przed ludźmi.

- Sprowadź ją ze wzgórz ogniowych. Dzisiaj nikt na to nie zwróci uwagi.

- Nie podoba mi się to, Rill. Po prostu mi się nie podoba.

- A kiedy ktoś się liczył z tym, czy nam się coś podoba, czy nie, Campenie?

Miałam dość zrzędzenia, więc zostawiłam go i poszłam do ochronki w południowej części piętra. Była to oaza spokoju, o ile tak można nazwać miejsce, w którym znajduje się dwadzieścia dziewięć niemowlaków i tylko trochę starszych maluszków. Dziewczyny uwijały się przy robocie pod czujnym okiem ciotki Lucil i jej pomocnic. Panował tam taki zgiełk, że nie były w stanie zrozumieć przesłanej przez bębny wiadomości. Ochronka miała osobną, małą kuchnię. Gdyby epidemia dotarła do Warowni, można by tę część odciąć od pozostałych pomieszczeń. Pomyślałam, że muszę pamiętać o dodatkowym zaopatrzeniu - tak na wszelki wypadek.

Przejrzałam bieliznę i pościel i napomknęłam ciotce pracze, że przy słonecznej i dość ciepłej pogodzie, jaka panowała tego dnia, byłoby znakomicie, gdyby urządziła pranie. Ceniłam ciotkę za dobre serce, ale nie podobał mi się jej obyczaj odkładania wszystkiego na później pod pretekstem, że służba ledwie sobie daje radę z nadmiarem obowiązków. Wiem, matka zawsze jej pilnowała. Czuję się paskudnie, przejmując obowiązki matki, nawet jeśli

miałoby się to wkrótce skończyć, ale wkrótce mogliśmy potrzebować każdego kawałka czystego płótna.

Kiedy zjawiłam się na poddaszu, tkacze z zapalem pracowali przy krosnach. Wytwarzali tkaniny z grubego włókna. Moja matka była z tego bardzo dumna. Ciotka Sira powitała mnie spokojnie, jak zwykle nie okazując śladu niepokoju. Mimo że maszyny hałasowały bez ustanku, musiała coś tam usłyszeć z mowy bębnow, nie zadawała jednak pytań.

Zjadłam spóźnione śniadanie w pokoiku na pierwszym poziomie podziemia. Matka nazywała go swoim „biurem”, szczęśliwa, że ma się gdzie czasem schronić w samotności. Bębny odezwały się znowu potwierdzając i przekazując dalej ponure wieści. Powtarzano je raz po raz. Wzdrygnęłam się, gdy po raz czwarty usłyszałam kod z Keroon, i zaczęłam nucić głośno, aby nie popadać w głębszą jeszcze rozpacz z powodu nowych okropności. Warownia Ruatha leżała w sąsiedztwie. Dlaczego nie nadchodziły stamtąd żadne przekazy, dlaczego matka i siostry nie dawały znaku życia?

Pukanie do drzwi przerwało te smutne rozmyślenia. Niemal z zadowoleniem przyjąłm wieść, że Campen chce się ze mną spotkać na pierwszym piętrze. W połowie drogi uświadomiłam sobie, że musiał już wrócić z Anellą. Skoro znaleźli się na pierwszym piętrze, to Anella spodziewa się, że zamieszka w pokojach gościnnych. Osobiście umieściłabym ją przy wewnętrznym korytarzu na piątym piętrze. Apartamenty gościnne są dla niej za dobre. Za nic w świecie nie pozwoliłabym jej wprowadzić się do pokoiów matki mających wygodne połączenie z sypialnią ojca. Mój ojciec przechodził, bądź co bądź, kwarantannę, a matka przebywała w Ruathcie.

Anella zastosowała się do polecenia Tolocampa jak najdosłowniej. PrzyproWadziła nie tylko swoje dzieci, ale także matkę, ojca, trzech młodszych braci i na dodatek sześcioro słabowitych pociotków. Jak zdołali wdrapać się na wzgórze ogniowe - nie pytałam nawet, ale dwoje wyglądało na bliskich omdlenia. Powinni się nimi zająć nasi starszycy mieszkający na wyższych piętrach. Anella dąsała się trochę, gdyż wyznaczono jej kwaterę daleko od Tolocampa, ale ani Campen, ani ja nie przejmowaliśmy się jej humorami i kwaśnymi uwagami jej mamuski. Cieszyłam się, że nie ściągnęła więcej krewniaków. Uznałam, że starsi bracia mieli dość rozumu, aby nie liczyć na korzyści związane z „awansem” bezwstydney siostrzyczki. Jakkolwiek sądziłam, że Anella sama powinna dać sobie radę z opieką nad własnymi dziećmi, przydzieliłam jej dwie służące, w tym jedną z ochronki. Nie chciałam narażać się na pretensje ze strony ojca. Każdego gościa potraktowałabym z podobną kurtuazją. Nie musiałam jednak czuć się uszczęśliwiona z tego powodu.

Pognałam potem do kuchni, aby porozmawiać z Felimem. Trzeba mu było powiedzieć, że

radzi sobie wspaniale. Kuchnia jest wylegarnią najgorszych plotek. Na szczęście nikt tam nie rozumiał szyfrowanych przekazów, choć z pewnością zauważono, że nadawane były niezwykle często. Czasami można się zorientować, że bębny przesyłają dobre nowiny. Rytm wydaje się weselszy, dźwięki wyższe, tak jakby instrumenty wyśpiewywały z radością to, co ludzie mieli do powiedzenia. Dziś w ich melodii słyszałam łkanie...

Pod wieczór, gdy ręce doboszy omdlały z wysiłku, wysyłano już przekazy z błędami. Z trudem znosiłam powtarzane w kółko błagania z Keroon i Telgaru o uzdrowiaczy - na miejsce tych, którzy umarli próbując ratować chorych. Zatkanam uszy, żeby zasnąć. Ale nawet wtedy docierało do mnie echo złych nowin.

Rozdział IV

3.14.43

Zatyczka wypadła, gdy przewracałam się w łóżku, tak więc wiadomość o śmierci matki, a potem o śmierci sióstr usłyszałam aż nadto wyraźnie. Ubrałam się i wyszłam, by pocieszyć Lilię, Nie i Marę. Przywłókł się Gabin. Twarz poczerwieniała mu z wysiłku, aby nie rozplakać się publicznie. Zaszlochał, chowając głowę na moim ramieniu. Ja też płakałam. Z żalu nad siostrami i nad sobą, że nie pożegnałam się wówczas z nimi.

Później przyłączyli się do nas bracia, wszyscy z wyjątkiem Campena. Ciekawe, czy któreś z nas życzyło Tolocampowi, aby padł ofiarą choroby, na którą zmarły porzucone przez niego matka i siostry.

Posłańca od Desdry powitałam z ulgą. Dzięki jego przybyciu mogłam pozostawić pograżonych w żalu braci. Aby spełnić prośbę Desdry o zaopatrzenie, mogłam użyć tylnych schodów, ale wybrałam drogę głównym korytarzem. Ojciec wykrzykiwał coś energicznie przez okno, a Anella kryła się za pierwszym załomem pasażu. Uciekła ze zwinnością jaszczurki. Pełen głupawego zadowolenia fałszywy uśmiech na jej twarzy sprawił, że nabrałam do niej obrzydzenia raz na zawsze.

Uczeń od uzdrowiaczy mocno wyciągał nogi, żeby za mną nadażyć, kiedy pędziłam jak burza po spiralnych schodach wiodących do niższych poziomów. Gdy ułożyłam stos ziół zamówionych przez Desdrę, uczeń zaprotestował, twierdząc, że takiej ilości nie zdoła dotaszczyć do Cechu Uzdrowicieli. Wrzasnęłam piskliwie wzywając sługę. Sim, z okrągłymi z przestachu oczami, przybiegł natychmiast, zastanawiając się, o czym to ważnym zapomniał.

Opanowałam się i przeprosiłam uzdrowiacza, że chciałam go tak objuczyć. Mogłam wezwać

drugiego słuęę do pomocy, ale przy wejściu do kuchni mignęła mi Anella, władczy gestem nakazująca Felimowi, aby się zbliżył. Wiedziałam, że jeśli wkroczę do kuchni i zobacę, jak ta bezczelna dziwka zgrywa się na panią Warowni, pożałuję tego, co się stanie. Wysłałam bocznymi drzwiami razem z uzdrowiaczem i służącym. Chłodne powietrze mnie uspokoiło. Zmuszałam swoich towarzyszy do szybkiego marszu.

W Cechu Harfiarzy panował harmider, dobiegały stamtąd krzyki i śmiechy. Nie miałam pojęcia, co tę wesołość wywołało, ale uśmiechnęłam się z ulgą, że gdzieś ludzie potrafią jeszcze być szczęśliwi. Potem głosy ucichły i rozległ się dobrze znany mi baryton.

- Mgła zatrzymała mnie w drodze do Warowni - mówił mistrz Tirone. - Do tego okulał mi biegoń. Zabrałem z łąki świeżego wierzchowca i po drodze usłyszałem bębny. Przepraszę za wypożyczenie zwierząt później, gdy bębny nie będą tak zajęte. - Cień rozbawienia w jego głosie wywołał chichoty wśród słuchaczy. - Droga powrotna trwała krócej. Skąd miałem wiedzieć, że lord Tolocamp ustanowił warty, by zapobiec przemieszczaniu się ludzi?

W ten sposób usłyszałam po raz pierwszy o podjętych przez ojca środkach ostrożności. Głos mistrza Tirone stał się bardziej poufały.

- O cóż zatem chodzi z tym obozem, w którym mają być internowani uzdrowiacze i harfiarze próbujący nawiązać kontakt z Warownią? Jakże mamy pracować przy tak niemądrych ograniczeniach?

Uzdrowiacz spojrział na mnie skonsternowany. Krytyka dotyczyła przecież mego ojca. Nie wolno mi było okazać zniechęcenia, rozczarowania i nieufności wobec Tolocampa. I lepiej, żebym nie spotykała się z taką postawą u innych.

Z końca podwórca wychynęła Desdra. Jej twarz rozjaśniła się na widok naszych ładunków.

- Lady Nerilko, prosiłam tylko o drobne wsparcie.

- Radzę brać, co się da, póki jestem w stanie wam pomóc.

Nie zadawała pytań, ale w jej oczach widziałam aprobatę.

- Ponawiam ofertę zajęcia się chorymi, gdziekolwiek i komukolwiek moje usługi mogłyby się przydać - powiedziałam, siląc się na stanowczość, gdy zdejmowała pakunki z moich ramion.

- Musisz w potrzebie zająć miejsce matki, lady Nerilko - odrzekła miłym, cichym głosem. W jej głęboko osadzonych, wyrazistych oczach wyczytałam współczucie. Uważałam kiedyś czeladniczkę za osobę bierną, zbyt cicho mówiącą, ale się myliłam. Jak mogłam przekonać ją teraz, że błędnie ocenia moje możliwości? A może tak błaha sprawa jak przybycie Anelli nie dotarła do obu Cechów?

- Jak miewa się mistrz Capiam? - zapytałam, nim zdążyła odejść.

- Przebył już prawie cały cykl choroby - w głosie Desdry pobrzmiwał cierpki humor, a w jej

oczach zapalały się słabe ogniki. - Jest nazbyt wściekły, aby umrzeć, a poza tym postanowił znaleźć lekarstwo na tę chorobę. Dziękuję, lady Nerilko.

Podczas naszej krótkiej wymiany zdań ucichły głosy w Cechu Harfiarzy i nie pozostało mi nic innego, jak odejść. Sim dreptał za mną. Biedny Sim. Często zapominam, że na swoich krótkich nogach nie jest w stanie dotrzymać mi kroku.

- Sim, gdzie jest ten obóz dla internowanych lorda Tolocampa? - szukałam pretekstu, aby nie wracać za szybko do Warowni.

Byłam zanadto rozgniewana i rozżalona, by panować nad sobą.

Sim wskazał ręką na prawo, gdzie szeroka droga na południe wiedzie wśród drzew do małej doliny. Zbliżyłam się gościńcem na tyle, aby lepiej widzieć i dostrzegłam przechadzających się tam i z powrotem strażników.

- Czy wielu podróżnych zatrzymano?

Sim przytaknął, wyraźnie spłoszony.

- Harfiarzy i uzdrowiaczy, którzy próbowali wrócić do swoich Cechów. I paru biedaków nie mających siedzib. Zawsze tedy wędrowali. Wkrótce i tam będą chorzy. Przyda im się pomoc z Cechu Uzdrowicieli. Należy im się opieka.

Miał rację. Nawet moja matka jest - była - wspaniałomyślna wobec koczujących nędzarzy.

- Czy straż wpuszcza ludzi do doliny?

Sim skinął głową.

- Ale w drugą stronę już nie.

- Kto jest dowódcą straży?

- Theng, o ile się nie mylę.

Nawet Thenga można było sobie zjednać, jeśli się obrało właściwą taktykę. Lubił wino i kiedy pił, udawał, że nie widzi dalej niż dno butelki. Nie dopuszczano harfiarzy i uzdrowicieli do Cechów? Mój ojciec był równie głupi, jak przerażony. A do tego zakłamany. Uciekł ze zdziesiątkowanej zarazą Warowni Ruatha, narażając własny lud na niebezpieczeństwo. No tak, ale ja nie musiałam być tak samo głupia. Znałam swoje obowiązki, Czyż ojciec sam mi ich nie wpoił? I może sama wkrótce znalazłabym się w potrzebie. Postanowiłam porozmawiać z Felimem i z Thengiem.

Wracając do domu dostrzegłam jakąś postać w oknie pierwszego piętra. Ojciec? Tak, okno należało do jego apartamentów. Śledził Sima i mnie. Nie mógł z tej odległości odróżnić Sima od jakiegokolwiek innego sługi w barwach Warowni. I jakie miałyoby to znaczenie, gdyby rozpoznał mnie? Szłam dalej - dumnie i niedbale, ale do kuchni weszłam bocznym wejściem. Ostatecznie zamierzałam przecież porozmawiać z Felimem.

- Co mam teraz robić, lady Nerilko? - zaczął kucharz, zanim zdążyłam go poprosić, aby zachował resztki mięsa dla internowanych. - Zażądała wszelkich rodzajów żywności. Wiem, że lady Pendra nigdy by na to nie przystała. - Wybuchnął płaczem, wycierając twarz ścierką wiszącą mu u pasa. - Lady Pendra była surowa, ale sprawiedliwa. Należało się tylko dostosować do jej wymagań i nikt się nigdy nie skarżył.

- Czego chciała Anella?

Powiedziała, że teraz ona rządzi w Warowni. Muszę przygotować zupę dla jej dzieci, które mają delikatne żołądki; do każdego posiłku trzeba podawać słodczyce, bo jej rodzice za nimi przepadają, a do tego pieczeń w południe i wieczorem. Lady Nerilko, przecież to niemożliwe.

- Po jego policzkach znowu spłynęły łzy. - Czy muszę słuchać jej rozkazów?

- Wyjaśnię to, Felimie. Trzymaj się tego, co ustaliliśmy dziś rano. Nawet dla Anelli nie możemy wywracać z dnia na dzień wszystkiego do góry nogami.

Poprosiłam go jeszcze, żeby zachował trochę żywności z kolacji. Można by ją przesać Thengowi.

- Zeszłego wieczora pozwoliłem sobie przesać im jedzenie, lady Nerilko. Pani matka postąpiłaby z pewnością tak samo.

- Och, och, była sprawiedliwa, o tak, sprawiedliwa... - ponownie zakrył twarz ścierką.

Felim też był przyzwoitym człowiekiem, pomyślałam sobie. Starłam się w tej chwili nie przywoływać obrazu matki w pamięci. Przypomniałam sobie o Anelli i to pomogło. Ta mała dziewczynka, która myśli, że ot tak sobie zjawi się w Warowni równie wielkiej jak nasza i będzie w niej rządzić zupełnie jak w swoim gnojowisku za górami! Myśl o bałaganie, który wywołałaby natychmiast swoim brakiem doświadczenia, sprawiła mi perwersyjną przyjemność. Anella nie miała pojęcia o zarządzaniu i jeśli chciała pozostać w łaskach u mego ojca, powinna się sporo nauczyć. Dlaczegoż to wyobrażała sobie, że po śmierci lady Pendry może zająć jej miejsce, tak jak odebrała jej męża? Chyba że...

W sali na dole wpadłam na zdesperowanego Campena. Na jego mocno zaczerwienionej twarzy widniała konsternacja. Doral, Mostar i Theskin, zatopieni wraz z nim w cichej rozmowie, wydawali się także mocno przejęci.

- Czy nic nie możemy zrobić? - pytał Theskin zaciskając palce na rękojeści noża.

Doral uderzał pięścią o otwartą dłoń drugiej ręki.

- Nerilko, gdzie się podziewałaś? Czy wiesz, co się stało?

Anella się przeprowadza.

- Ojciec kazał ją przenieść do pokojów matki. Już teraz!

Byli wyraźnie oburzeni.

- On cię kazał szukać, Rill. Chce wiedzieć, gdzie byłaś cały dzień i co robiłaś w obozie dla internowanych - co ci właściwie strzeliło do głowy, żeby w ogóle tam pójść?

- Chciałam zobaczyć, czy to prawda, że go założono - odparłam z goryczą, nie przejmując się pozostałymi pytaniami. - Kiedy to zrobiono?

Rano - powiedział Theskin. - Ustawiliśmy strażę i sporządziliśmy rozkład wart. A teraz to! Czy nie mógł trochę poczekać?

- On może umrzeć i stracić okazję, żeby się jeszcze trochę zabawić!

- Nerilko! - Campena zgorszyła moja nonszalancja, ale Theskin i Doral zachichotali.

- Wiesz, Campi, ona ma pewnie rację - stwierdził Theskin. - Nasz lord zawsze cenił sobie drobne przyjemności.

- Dostyc, Theskinie! - Campen opanował się na tyle, aby mówić ciszej, ale ton jego głosu me pozostawiał wątpliwości co do jego uczuć.

Theskin wzruszył ramionami.

- Wychodzę. Sprawdzę warty! Wrócę na obiad. Za skarby świata nie odpuszczę go sobie! - mrugnął do mnie i chwycił Doralę za ramię. Wyszli pozostawiając mnie z Campenem.

Nie miałam jednakże ochoty wysłuchiwać dalszego ciągu wykładu na temat moich niedociągnięć

- Uwważaj, Campenie. Ona ma, jak wiesz, dwóch synów i mogą nas jeszcze wykopać na wyższe piętra!

Mojemu najstarszemu bratu nie przyszło to jak dotąd do głowy. Pozwoliłam mu zastanowić się nad tą myślą w spokoju i wycofałam się do swojego przytulnego pokoiku.

Nie pamiętam, co podano na wieczorny posiłek, ale nie sprawił mi przyjemności. Nasza zmarła matka zadbała, aby kurtuazja stała się naszą drugą naturą i nawet sprowokowani nie potrafilibyśmy zdobyć się na nieuprzejmość wobec Anelli. Zeszłam na kolację trochę później, toteż zaskoczyła mnie liczba krewniaków z drugiego piętra. Ustawiono wielkie stoły. Także krzesło ojca znalazło się na podwyższeniu. Anella miała ręce pełne roboty.

- Zaproszono was? - zapytałam stryja Munchauna, kiedy zbliżył się do mnie wolnym krokiem.

- Nie, ale ona nie wie, jak się zachować, nieprawdaż?

Stryjowi Munchaunowi, nie mówiąc już o pozostałych, trudno było odmówić wyczucia sytuacji. Chcieli się naocznie przekonać o prawdziwości plotek.

- Obawiam się, że jak dotąd nic ciekawego nie wynika z mojej lektury - ciągnął łagodnym głosem. - Innych też zapędziłem do tej pracy. - Jakies wiadomości z Cechu? - Podobno byłaś tam dzisiaj.

Zignorowałam tę uwagę.

- Wrócił mistrz Tirone. Przeszedł przez góry.

- Nic zatem nie wie o naszych gościach?

- Raczej nie. W każdym razie ominął wartowników.

- Prawie żałuję, że tak się stało - mruknął stryj z błyskiem w oku. Dotknął mego ramienia ostrzegawczo; kiedy się odwróciłam, spostrzegłam Anellę. Wkroczyła do sali w towarzystwie swych rodziców.

Wspaniałe entree psuł jedynie nerwowy rumieniec Anelli i niepewny krok jej ojca. Powiedziano mi potem, że starzec nie popijał, tylko miał kaleką stopę. Nie byłam jednak wówczas skłonna do litości czy współczucia. To w nim przynajmniej wydało się sympatyczne, że sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Anella, wystrojona w ciężką, bogato haftowaną suknię, zupełnie nie pasującą do żałoby, jaka panowała w Warowni, wspięła się po schodach na podwyższenie i podeszła zdecydowanie do fotela matki. Stryj Munchaun powstrzymał mnie za ramię.

- Lord Tolocamp życzy sobie, abym odczytała wam jego oświadczenie.

Mówiła piskliwie, starając się usilnie, aby ją usłyszano i aby wszyscy uświadomili sobie, jaką teraz ma władzę. Rozwinęła papier i uniosła go do góry. Wytrzeszczone oczy nie dodawały jej uroku.

„Ja, lord Tolocamp, odsunięty na skutek kwarantanny od zarządzania Warownią Fort w tych niespokojnych czasach, wyznaczam i deleguję lady Anellę na panią Warowni. Pragnę w ten sposób zapewnić sprawność funkcjonowania Warowni aż do czasu, gdy związek nasz zostanie publicznie przypieczętowany. Mój syn Campen będzie wypełniał, pod moim kierunkiem, obowiązki pana Warowni dopóty, dopóki nie zakończy się moje odosobnienie. Zobowiązuję was uroczyście, pod groźbą niełaski i wygnania, do przestrzegania kwarantanny i powstrzymania się od kontaktów z osobami z zewnątrz, dopóki mistrz Capiam albo wyznaczony przez niego mistrz uzdrowicielski nie odwoła obowiązujących restrykcji. Żądam bezwzględного posłuszeństwa - dla bezpieczeństwa Warowni Fort, pierwszej i największej siedziby Pernu. Posłuszeństwo zapewni nam przetrwanie i dobrobyt. Złamanie rozkazów poprowadzi nas do zguby”.

Odwróciła kartkę w naszą stronę, wskazując palcem na dół stronicy.

- Podpis i pieczęć są tutaj. Kto chce, może to sprawdzić.

Potem obraziła nas znowu.

- Polecił mi stwierdzić, kto z was odważył się dzisiaj podejść niebezpiecznie blisko obozu internowanych - taksowała nas wybałuszonymi ślepiami.

Wystąpiłam naprzód, a razem ze mną Peth, Jess, Nia i Gabin.

- Nie drażnijcie się ze mną! - wrzasnęła Anella. - Lord Tolocamp mówił wyraźnie, że chodzi o jedną osobę.

Wszyscy mieliśmy ochotę rzucić okiem na obóz - powiedziała Jess, zanim zdołałam zebrać myśli. - W życiu nie widziałam obozu dla internowanych.

- Czy nie rozumiecie? Tam są chorzy! - Anella pobladła ze strachu. - Jeśli zarazicie się, narazicie życie innych, zanim sami umrzecie.

- Tak jak nasz Lord Warowni - odezwał się ktoś z sali.

- Kto to powiedział? Kto śmiał powiedzieć coś tak wstrętnego?

Nastała cisza, słychać było tylko szuranie butów na kamieniach posadzki. Nawet ja nie rozpoznałam tego głosu, nie mogłam zatem wyrazić swej solidarności z tym, kto powiedział te słowa. Nie zdziwiłabym się, gdyby to był Theskin.

- I tak się dowiem! - oświadczyła patetycznie Anella. Myliła się. Tego wieczoru zaprzepaściła jakąkolwiek szansę na pozyskanie zaufania zebranych w Wielkiej Sali.

- Powiem lordowi Tolocampowi o wężu, jakiego wyhodował na własnym łonie!

Rozejrzała się po sali jeszcze raz, a potem gwałtownie szarpnęła za rzeźbione krzesło, na którym z taką godnością siadywała moja matka. Nie miała dość siły, aby je przesunąć, toteż wzbudziła jedynie złośliwy chichot. Jej matka skinęła rozkazująco na sługę. Kiedy Anella usadowiła się wreszcie w fotelu, starsza pani usiadła po prawej, a jej mąż po lewej stronie córki. Ci spośród nas, którzy zwykle jadali przy stole na podwyższeniu, woleli sobie tym razem poszukać miejsca na dole.

- Gdzie są dzieci lorda Tolocampa? - zapytała Anella. - Campenie! - Tego przynajmniej знаła z widzenia. - Theskinie, Doralu, Gallenie. Usiądźcie tutaj. - Przerwała, jej usta drgały z irytacji.

- Nalka? Czy to jest najstarsza z córek?

Stryj Munchaun dźgnął mnie łokciem w bok.

- Lepiej idź, Rill, mimo że przekreśliła twoje imię. Inaczej twój ojciec dowie się, że znieważylaś ją publicznie.

Musiałam przyznać mu rację. Podniosłam się. Matka Anelli coś jej szepnęła na ucho.

- W Warowni jest harfiarz, prawda? Chcemy posłuchać harfiarza.

Casmodian wstał i złożył ukłon, siląc się na uśmiech.

- Dlaczego usiedliście na dole? - zapytała Anella, gdy Campen i Theskin wchodzili po schodach.

- Z całym szacunkiem, lady Anello - odrzekł Theskin z krzywym uśmiechem - zostawiliśmy

te miejsca dla twojej rodziny.

Choć Theskin przemówił grzecznie, jego słowa stanowiły niewątpliwy przytyk, a Anella nie była aż tak tępa, żeby tego nie zauważyć. Nikt nie zwrócił jej uwagi, że nie wymieniła wszystkich dorosłych dzieci Tolocampa, tak więc Peth, Jess i Gabin przyjemniej spędzili czas przy kolacji aniżeli my.

Casmodian usiadł obok ojca Anelli. Byli chyba jedynymi biesiadnikami, którzy toczyli rozmowę przy głównym stole. Jedzenie straciło dla mnie smak. Z trudem zmuszałam się do przełknięcia czegokolwiek. Na nieszczęście teraz miałam czas, aby rozmyślać, czego nie zrobiłam dla swojej matki i jak to odmówiłam siostronom pożegnania w ostatnich chwilach, które spędziły w Warowni. Kipiałam ze złości na uzurpatorkę i przysięgałam sobie, że nie kiwnę małym palcem, by ją wspomóc w jej nowej roli. Bardzo mi odpowiadało, że nie pamiętała mojego imienia. Jeśli dobrze wyczuwałam powszechny nastrój, nikt jej nie pomoże, nawet w tak drobnej sprawie jak zwracanie się do dzieci lorda Tolocampa we właściwy sposób.

Tego wieczoru wypiałam więcej wina, niż miałam w zwyczaju. Jadłam bardzo niewiele. Wymknęłam się potem do kuchni, aby się upewnić, czy nowa pani Warowni nie odwołała mego polecenia co do wysłania resztek mięsa do obozu. Wreszcie tylnymi schodami udałam się do swego pokoju, aby szukać pociechy we śnie.

Rozdział V

3.15.43

Bębny zbudziły mnie o świcie, bo zapomniałam w roztargnieniu zatkać uszy. Wiadomość otrzeźwiła mnie do reszty - dwanaście skrzydeł umknęło przed Opadem w Igen. Obyło się bez strat.

W jaki sposób dwanaście skrzydeł mogło wylecieć z Weyru Igen, podczas, gdy połowa jeźdźców padła ofiarą zarazy i sporo z nich zmarło? Jeśli te dane zgadzały się ze stanem faktycznym, to nie mogli wystawić więcej niż dziewięć skrzydeł, a w tak strasznej sytuacji kłamstwo nie miałoby sensu.

Wstałam i ubrałam się, a potem zeszałam do kuchni, gdzie kucharczycy zaczynali właśnie warzyć klah. Sam jego aromat dodawał sił. Poranna filiżanka silnie pachnącego płynu smakuje najbardziej. I teraz podniosła mnie na duchu. Właśnie mieszałam owsiankę, gdy zjawił się Felim. Jego twarz, jaśniejąca zadowoleniem, na mój widok przybrała stosownie ponury wyraz.

- Wysłałem do obozu kosz jedzenia, lady Nerilko. Czy kolacja była niedobra?

- Niewielu z nas miało wczoraj apetyt, Felimie. Bez ujmy dla ciebie.

- Ona skarżyła się, że nie podano słodczy w dostatecznym wyborze - powiedział wyraźnie urażony. - Czy ona nie zdaje sobie sprawy, w jak trudnych warunkach pracuję? Nie mogę w środku dnia wszystkiego stawiać na głowie. Żaden uczeń czy czeladnik nie przygotuje na łapu-capu takiej ilości deserów.

Mruknąłem coś, aby podbudować jego zachwiane poczucie własnej wartości. Zrobiłam to bardziej z nawyku aniżeli z chęci wybielenia Anelli w jego oczach. Niezadowolony kucharz w tak dużej Warowni jak nasza to prawdziwa katastrofa. Niechże Anella uczy się na własnych błędach i przekona się, ile trudu wymaga pełnienie obowiązków pani Warowni.

Wtedy dopiero uświadomiłam sobie prawdę: Anella była panią Warowni i miała prawo do honorów należnych przedtem mojej matce. No tak, ale nie wszystko wpadnie w ręce Anelli. Uspokoiliam Felima, aby zapewnić sobie i innym przyzwoitą kolację, i popędziłam do biura matki.

Szybko wyciągnęłam jej prywatne zapiski i notatki na temat różnych osób. My, dziewczęta, wiedziałyśmy, że matka w ten sposób wspomaga swoją pamięć, i starałyśmy się usilnie, aby za często nie dostarczać jej tematu. Dla Anelli te zapiski miałyby nieocenioną wartość, dla nas natomiast byłyby strasznie krępujące. Poznałaby różne nasze dziecinne grzechy i sekrety, a także prywatne sprawy mieszkańców z drugiego piętra. Matka posiadała także trochę biżuterii, która stanowiła jej osobistą własność i powinna, z mocy prawa, przypaść w udziale jej córkom. Wątpiłam w uczciwość Anelli, toteż wykonanie testamentu wzięłam na swoje barki.

Gdyby Anelli przyszło do głowy, że coś z rzeczy matki zginęło, mogłaby tego zacząć szukać. Dlatego też pospieszyłam tylnym korytarzem do magazynów i ukryłam dwie torby zapisków oraz małą paczuszkę z biżuterią na najwyższej półce zakurzonego regału. Anella nigdy tam nie dosięgnie. Ledwie dorasta mi do ramienia.

W drodze powrotnej natknęłam się na Sima.

- Lady Nerilko, ona pytała o lady Nalkę.

- Doprawdy? O ile wiem, w Warowni nie ma nikogo o takim imieniu.

Sim, zmieszany, zamrugał gwałtownie.

- Czyż nie miała ciebie, pani, na myśli?

Być może, ale dopóki nie nauczy się zwracać do mnie właściwym imieniem, nie będę odpowiadać na jej wezwania. Zgadzasz się ze mną, Simie?

- Tak, lady Nerilko, skoro tak pani uważa.

- Wróc zatem do niej i powiedz, że nie zdołałeś znaleźć lady Nalki.

- Czy tego pani sobie życzy?

- Tak.

Począł z powrotem mrużąc pod nosem, że nie znalazł lady Nalki, żadnej lady Nalki. To miał właśnie powiedzieć. Żadnej lady Nalki nie było w Warowni.

Przeszłam przez podwórze do Cechu Harfiarzy. Kto wie, czy Anelli ktoś w końcu nie powie, że należy pytać o lady Nerilkę, nie o Nalkę. Z pewnością doniosłaby ojcu o mojej bezczelności, a ten niechybnie ukarałby mnie dotkliwie, gdy tylko wyszedłby z odosobnienia. Skoro ma bić, to niech będzie za co. Na razie dysponowanie lekami należy do mnie i uzdrowiacze korzystają z nich zgodnie z potrzebami.

Wesoły uczeń wskazał mi drogę do kuchni. Idąc rozmyślałam o tym, że ostatnio spędzam w kuchni dużo więcej czasu niż kiedyś.

- Butelki muszą być wysterylizowane, a to znaczy, że trzeba je trzymać piętnaście minut we wrzącej wodzie i nie oszukiwać z klepsydrą - mówiła Desdra zwracając się do czeladnika. - Teraz... lady Nerilka! - Desdra sprawiała dzisiaj wrażenie pogodniejszej.

- Czy mistrz Capiam miewa się lepiej?

- Tak, wrócił do siebie. Miło mi, że mogę to powiedzieć. Nie każdy, kto zachoruje, musi koniecznie umrzeć. Czy w Warowni są chorzy?

- Jeśli pytasz o mego ojca, zamknął się w swoich pokojach, ale czuje się na tyle dobrze, żeby wydawać rozkazy.

- Tak, słyszałam - krzywy uśmiech Desdry upewnił mnie, że zmiany w Warowni nie przypadły jej do gustu.

- Czego wam potrzeba z apteki? Na razie ja się nią jeszcze zajmuję.

Desdra odwróciła się w stronę czeladnika, zajęta najwidoczniej ważniejszymi sprawami. Po chwili jednak uśmiechnęła się do mnie.

- Czy potrafisz sporządzać roztwory, wywary i mikstury?

- Realizuję wszelkie zamówienia na leki w Warowni.

- Przygotuj zatem syrop na kaszel. Najlepiej tussilago. Weź, proszę, tę receptę, którą już wypróbowałam - w dłoniach trzymała kawałek skóry i ułamek węgla; pospiesznie, ale czytelnie zapisała składniki i proporcje. - Nie wahaj się przed dodaniem mrocznika. To jedyna rzecz, która łagodzi ostre napady kaszlu.

Zerknęła na inny kawałek skóry. Moja obecność ją rozpraszała.

- A czy twoja matka... och, proszę, wybacz - dotknęła przepaszającą moją dłoń. Jej oczy zabłyły niepokojem. Nie chciała sprawić mi bólu. - Czy macie zupełną wzmacniającą?

Będziemy potrzebować całych wiader zupy wzmacniającej.

Wyobrażałam sobie reakcję Felima na kolejne dziwaczne zamówienie. Kocioł można by ustawić na małym palenisku i włączyć do wody wszelkie resztki. Ostatnie miejsce, w którym Anelli przyszloby do głowy mnie szukać, to mała zadymiona kuchnia.

- Ochłódźcie ją tak, żeby uzyskać galaretę. Łatwiej ją transportować w tej postaci.

Nie spuszczała z oka klepsydry. Już tylko odrobiny piasku brakowało do końca gotowania butelek we wrzątku. Zostawiłam ją pochłoniętą pracą. Desdra, mimo zewnętrznego opanowania, wydawała się podniecona - chyba nie tylko w związku z powrotem do zdrowia Mistrza Harfiarzy. Czyżby odkryli remedium?

Na szczęście przygotowywanie zupy oraz syropu przeciw-kaszlowego dostarczyło mi zajęcia na cały dzień. Tussilago rzeczywiście znieczuliło zaognioną śluzówkę gardła. Dla poprawienia smaku dodałam obojętnej w działaniu przyprawy. Napelniłam miksturą dwa gąsiory zachowując sporą butelkę na użytek Warowni. Wpisałam receptę na syrop do dziennika.

Razem z Simem zanieśliśmy owoce mojego całodziennego trudu do siedziby Cechu. Desdra nie kryła już podniecenia, ale od czeladnika, któremu przekazałam zupę i syrop, nie zdołałam dowiedzieć się niczego. Podziękował mi dość wylewnie, ale najwidoczniej spieszył się do innych zajęć.

Pragnęłam z całej duszy pomagać. Potrafiłabym to robić, ale nie było komu z tego skorzystać. Wracałam przez okryty ciemnością nocy dziedziniec w niewesołym nastroju. W pokojach ojca oraz tych, które tak niedawno jeszcze należały do matki, paliły się światła. Nikt jednak nie szpiegował wyglądając przez okno.

Obejrzałam się przez ramię na obóz, w którym nikczemnie uwięziono ludzi. Dostrzegłam strażników przy świetlnych koszach. Czy tam trafi moja zupa i syrop? W takim razie spędziłam czas pożytecznie. W dalszą drogę ruszyłam w lepszym humorze.

Rozdział VI

3.16.43

Campen zastał mnie następnego dnia rano, gdy zabierałam się do przygotowywania większej ilości zupy.

- A więc tutaj się zaszyłaś! Anella cię szuka.

- Szuka lady Nalki, a w Warowni nie ma nikogo o takim imieniu.

Campan parsknął ze złością.

- Wiesz doskonale, że o ciebie chodzi.

- No to powinna używać mojego właściwego imienia. Inaczej nie pójde.

A tymczasem Anella obrzydza życie naszym siostram. Śmierć matki już dość je dotknęła, a teraz muszą znosić kaprysy tej dziewczki.

Poczułam wyrzuty sumienia. Rozpamiętując własne nieszczęście zapomniałam, że Lilia i Nia potrzebowały mojego wsparcia.

- Chce nowych sukni odpowiednich dla jej pozycji. Ty jesteś najlepszą krawcową.

- Kista byłaby lepsza - odparłam gniewnie. - A ścięgi Merin biegły najprościej, ale pójde.

Tej rozmowy nie nazwałabym przyjemną. Wiedziałam, że było się o co przyczepić, jeśli chodzi o moje zachowanie. Poza tym dobijało mnie to, że Anella była ode mnie o parę Obrotów młodsza i znakomicie zdawała sobie z tego sprawę. Nie zapomniała też, że jest ode mnie znacznie niższa. Ale ja pamiętałam, że specjalnie zlekceważyłam jej wezwania. Wymówki przyjął w milczeniu. Pocieszało mnie, że aby mnie zwymyślać musiała dziwacznie wykręcać szyję. W ciężkim, przeładowanym ozdobami stroju wyglądały jak puszący się wher. Ubiór czynił jej szczupłe ciało niezgrabnym i bez przerwy opadał z jej ramion.

Co chwila ruszała ramieniem, by poprawić suknię. Brakowało jej godności, doświadczenia, rozumu i poczucia humoru.

- Jak zatem wytłumaczysz swoją nieobecność w ciągu ostatnich dwóch dni? Gdzie byłaś? Bo jeśli wymknęłaś się na randkę z jakimś osadnikiem...

Uznałam, że mam dość jej gderania.

- Przyrządzałam zupę wzmacniającą i syrop na kaszel, a także robiłam przegląd medykamentów na wypadek, gdyby okazały się potrzebne. - Zacerwieniła się na wspomnienie zarazy. - Jestem odpowiedzialna za aptekę w Warowni.

- Dlaczego nie powiedziano mi, gdzie byłaś? Twój ojciec... - gwałtownie zacisnęła wargi.

- Mój ojciec nie wie, jakie pełnię obowiązki. Sprawami domowymi zajmowała się matka.

Przyjrzała mi się badawczo. Mówiłam jednak beznamiętnym głosem i starannie dobieierałam słowa.

- Nikt tutaj nie raczy informować mnie o sprawach, o których wiedzieć powinnam - poskarżyła się. - Skoro nie nazywasz się Nalka, to jak ci na imię?

- Nerilka.

- Dość podobnie. Dlaczego nie przyszedł na wezwanie? - znowu była wściekła.

- Nie powtórzono mi go.

- Wiedziano jednak, że to ciebie szukam! - W Warowni nadal panuje żałoba i smutek, należy wiele ludziom wybaczyć.

Zacisnęła wargi w cienką linię, ale złość wyzierała z jej wylupiastych oczu. Szeleszcząc suknią podeszła do okna, stała tam chwilę wyglądając na zewnątrz i podrzucając szatę nerwowymi ruchami ramion. Raptownie odwróciła się w moją stronę.

- Twoja matka miała wszystko tak świetnie uporządkowane w Warowni, że z pewnością nie brakuje tutaj magazynów krawieckich. Mogłabyś pomóc mi wybrać odpowiednie sztuki materiałów do mojej garderoby.

- Ciotka Sira nadzoruje tkalnie.

- Nie potrzebuję ciotki Siry. Potrzebuję twoich umiejętności krawieckich. A posiadasz takowe, nieprawdaż? - Skinęłam głową. - Gdzie są klucze?

Wskazałam małą szafkę nad bielizniarką. Skoczyła ku niej niczym tygrysica, szarpiąc za szufladkę, aby jak najszybciej przejąć klucze mające potwierdzić jej nową pozycję. Musiała trzymać masywny pierścień obiema rękami.

- Ale który jest który? Którym otwiera się sejf z biżuterią? A szafkę z przyprawami?

- Każde piętro ma inny kolor kluczy. Klucze do pomieszczeń gospodarczych są mniejsze, do pokoi - większe; klucze do wspólnych izb - jeszcze większe i koloru złotego. Klucze do poziomu kuchennego mają zielony kolor.

Chcąc nie chcąc, resztę popołudnia spędziłam oprowadzając macochę po piętrach i podziemiu. Udzielałam jej obszernych wyjaśnień, ale tylko kiedy pytała. Nie mogę powiedzieć, czy to moje własne zachowanie, czy też jej kompletna niewiedza dotycząca zarządzania Warownią budziła we mnie poczucie niesmaku. Czyżby matka nie powierzała jej żadnych obowiązków, choć była jedyną córką w rodzinie? Miałam nadzieję, że ojciec pożałuje kiedyś dnia, w którym ślepa namiętność zaćmiła mu zdrowy rozsądek. I pomyśleć, jak głupio odrzucił mojego jedyne go zalotnika, Garbena, który pochodził z podobnej rodziny co Anella. Uświadomiłam sobie nagle, że nie doczekam w Warowni chwili, gdy ojciec się ocknie.

Anella chciała, żebym sporządziła wykroje i dopilnowała szycia sukni. Nie była całkiem głupia, gdyż oznajmiła, że Lilia i Nia mogą sobie poszyć tuniki z resztek materiałów. Dzięki temu zapewniła sobie ich współpracę i pilność. Wymówiłam się od dalszego oprowadzania pod pretekstem, że czekają na mnie obowiązki farmaceutki.

Usłyszałam w Cechu Harfiarzy o zastrzykach z serum krwi, które właśnie zaczęto stosować,

oraz o tym, że mistrz Capiam powrócił do swojej dawnej metody podawania pacjentom małych dawek jako szczepionki w celu uniknięcia poważniejszych powikłań. Pierwsze zastrzyki otrzymali uzdrowiacze, jako że najbardziej narażeni byli na infekcję. Mistrz Fortine uległ chorobie, ale wyzdrowiał i uskarżał się tylko na drobne dolegliwości. Już wkrótce miano wyprodukować zapas cudownego płynu wystarczający, aby uchronić wszystkich zdrowych przed zakażeniem. Pern został uratowany!

Miałam do tego dość sceptyczny stosunek, ale w Cechu panował nastrój nadziei i ulgi. Natychmiast wróciłam do Warowni uwolniona od troski o życie moich bliskich. Pobiegłam na górę, aby oznajmić siostronom dobrą wiadomość. Anella była tam także. Nadzorowała ich pracę. Wypytała mnie dokładnie o wszystko, każąc mi wielokrotnie powtarzać to samo, po czym pospiesznie wyszła. Bardziej chyba troszczyła się o zdrowie mojego ojca aniżeli o Warownię. Nie wiem, jak się to stało, ale przed wieczorem w Warowni zjawili się trzech uzdrowiaczy, których zaprowadzono natychmiast do apartamentów ojca. Przypuszczam, że go zaszczepili, a po nim z pewnością Anellę i jej dzieci. Ku mojemu zdumieniu, najbliższa rodzina także otrzymała zastrzyki. Moje młodsze siostry zniosły ukłucie ciernia bez skargi.

- Zostało szczepionki dla piętnastu osób, lady Nerilko. Kogo proponujesz? - zapytał czeladnik uzdrowicielski. - Desdra poleciła zwrócić się do ciebie.

W trakcie tej rozmowy poddawano mnie szczepieniu.

Powiedziałam, żeby zaszczepiono wszystkich dorosłych z ochronki, naszych trzech harfiarzy, Felima i jego głównego pomocnika, stryja Munchauna oraz Sireę, gdyż jedynie ona знаła wszystkie brokatowe desenie, którymi szczyła się Warownia. Wymieniłam także rządcę, Brandy'ego, oraz jego syna. Gdy ojciec siedział zamknięty u siebie, rola Brandy'ego stała się ważniejsza, jego syna także. Munchaun mógł przejąć ich obowiązki w razie potrzeby, a poza tym tylko on potrafił zrugać Tolocampa bez obawy odwetu z jego strony.

3.17.43

Znowu musiałam poświęcić przedpołudnie na szycie pod okiem Anelli. Stała mi i siostronom nad głowami, krytykowała naszą pracę, kazała przerabiać to i owo. W końcu miałam tego dosyć. Lilia, Nia i Mara wykazywały większy zapał spodziewając się obiecanej nagrody.

Anella, z właściwym sobie brakiem wyczucia, powtórzyła nam polecenia Tolocampa dla rządcy i naszych braci: okoliczni biedacy nie mogli odtąd korzystać z zasobów Warowni. Wszystko ma pozostawać do dyspozycji podległych nam osadników. W czasach kryzysu Warownia musi trwać jak skała, świecąc przykładem dla reszty kontynentu. Tolocamp, o czym z ukontentowaniem doniosła nam Anella, był przekonany, że uzdrowiacze i harfiarze zwrócą się do Warowni o wsparcie w żywności i lekach. Mistrz Capiam i mistrz Tirone zgłosili formalną prośbę o rozmowę z lordem Tolocampem następnego dnia.

Dla mnie była to kropla przepełniająca czarę. Wyczerpała się moja cierpliwość, układność i lojalność wobec ojca. Nie mogłam dłużej znosić tej kobiety ani pozostawać w zależności od człowieka, którego tchórzostwo i skąpstwo przynosiło ujmę memu rodowi. Nie chciałam przebywać w zhańbionej Warowni.

Wyszłam z pokoju tłumacząc się tym, że chcę przygotować słodczyce na wieczór. Zeszłam do kuchni, a potem do ambulatorium. Przygotowałam fellis w największym dzbanie oraz równie dużo syropu na kaszel. Gdy moje wywary bulgotały na kuchni, przetrząsnęłam przeładowane półki zdejmując garściami zioła, korzenie, łodygi, liście, pąki kwiatów i bulwy. Wszystko to mogło się przydać w Cechu Uzdrowicieli. Zioła spakowałam, powiązałam i zostawiłam w ciemnym kącie wewnętrznego magazynu, na wypadek gdyby zjawiała się tam Anella. Przełałam fellis i tussilago do owiązanych słomą gąsiorów. Do ładunku dołączyłam paczkę swoich ubrań. Potem sporządziłam lepki deser do wieczornego posiłku - dość, aby Anella i jej rodzice przeżarli się przy stole.

Wieczorem odnalazłam stryja Munchauna i poprosiłam go o rozdzielenie biżuterii między siostry.

- Proszę, proszę - powiedział podnosząc zawinięty w skórę pakiet z klejnotami. - Czy zostawiłaś sobie trochę?

- Tak, ale nie sądzę, żeby biżuteria miała mi się przydać tam, dokąd mam zamiar się udać.

- Daj mi znać, Rill, kiedy tylko się urządzisz. Będzie mi ciebie brakowało.

- A mi ciebie, stryju. Opiekuj się siostrami, dobrze?

- Czyż nie robiłem tego zawsze?

- Lepiej niż ktokolwiek inny. - Tyle tylko byłam w stanie powiedzieć. Uciekłam na dół po schodach.

3.18.43

Następnego dnia, kiedy w małej kuchni zaczęłam przygotowywać kolejny kocioł

wzmacniającej zupy, zobaczyłam idącego przez dziedziniec Mistrza Harfiarzy i Mistrza Uzdrowicieli. Szli na spotkanie z Tolocampem. Zawołałam Sima i kazałam mu czekać przed ambulatorium z dwoma ludźmi. Miałam pewne zadanie do wykonania.

Przebrałam się w strój bardziej nadający się do tego, co zamierzałam uczynić, i wetknęłam jeszcze parę drobiazgów do torby u pasa. Dostrzegłam swoje odbicie w niewielkim lustrze na ścianie. Włosy stanowiły jedyny przedmiot mojej dumy, lecz wahałam się tylko przez chwilę. Chwyciłam nożyce i zdecydowanie, zanim zdążyłam zmienić zdanie, obciąłam drugie sploty i wcisnęłam je w ciemny kąt bieliźniarki. Nikomu w najbliższym czasie nie przyjdzie do głowy przeszukiwać mój pokój. Krótkie włosy pasowały do mojej nowej życiowej roli.

Zawiązałam włosy na karku rzemieniem. Potem opuściłam pokój, który dawał mi wytchnienie w samotności od czasu, gdy skończyłam osiemnaście wiosen, i udałam się po spiralnych schodach do apartamentów ojca na pierwszym piętrze.

W ścianie tuż za głównym wejściem do jego kwatery znajdowało się wgłębienie. Ledwie zdążyłam się tam schronić, gdy bębny obwieściły szczęśliwą nowinę, że Orlith zniosła dwadzieścia pięć jaj, w tym jedno jajo królowej. Założę się, że w Weyrze Fort świętowano z tej okazji. Wiadomość była pocieszająca, ale zaraz posłyszałam ponury głos ojca. Czyżby ta wieść nie przypadła mu do gustu? W zwykłych czasach kazałby podać wino, aby to uczcić.

W siedzibie Cechu nie zastałabym nikogo. O tej porze wszyscy wykonywali już wyznaczone zadania w Warowni lub poza nią. Przyłożyłam ucho do drzwi. Słyszałam większość rozmowy, która toczyła się wewnątrz. Capiam i Tirone dysponowali silnymi, dźwięcznymi głosami, a w zdenerwowaniu mówili jeszcze głośniejsze. Tylko mój ojciec mamrotał.

- Dwadzieścia pięć z jajem królowej. Wspaniały wylęg mimo późnej pory Obrotu - mówił Capiam.

- Moreta... - dobiegło mnie niewyraźnie. - Kadith... Sh'gall... tak chorzy.

- To nie nasza sprawa - usłyszałam głos mistrza Tirone. - Choroba jeźdźca nie wpływa na sprawność smoka. W każdym razie Sh'gall walczy z Opadem w Neracie, musiał zatem całkowicie powrócić do zdrowia.

- Wiedziałam, że pan i pani Weyru Fort chorowali i wrócili do zdrowia. Po śmierci uzdrawiacza Weyru pośpiesznie wysłano tam Jallorę z Cechu Uzdrowicieli. Dlaczego Sh'gall latał nad Nerathem, o tym nie było mowy.

- Chciałbym, aby zawiadamiano nas o sytuacji w Weyrach - powiedział ojciec. - Tak bardzo się martwię.

- Weyry - odrzekł z naciskiem Tirone - przekazują swoje tradycyjne obowiązki Warowniom! Czy to ja sprowadziłem chorobę do Weyrów? - rzekł głośniejszym, rozdrażnionym głosem ojciec. -

Albo do Warowni? Gdyby jeźdźcy nie latali z miejsca na miejsce jak opętani...

- A Lordowie Warowni? Gdyby tak zatkali każdą dziurę i szczelinę... - Capiam rozgniewał się także.

- To nie jest pora na wymówki! - przerwał im skwapliwie Tirone. - Wiesz równie dobrze albo i lepiej niż inni, że to żeglarze sprowadzili tę straszliwą klęskę na kontynent! - W głosie mistrza brzmiała najwyższa niechęć. Miałam nadzieję, że ojciec to zauważył. - Wróćmy raczej do tego, o czym dyskutowaliśmy, gdy bębny nam przerwały. W twoim obozie są poważnie chorzy. Nie ma dość szczepionki, aby opanować epidemię, ale należałoby przynajmniej zapewnić im przyzwoite kwatery i lepszą opiekę.

Słusznie więc podejrzewałam, że sknerstwo ojca dotknęło obu Cechów, które Warownia Fort jak dotąd hojnie zaopatrywała w razie potrzeby.

- Są wśród nich uzdrowiacze - odparował nadąsanym głosem ojciec. - Sami mówiliście!

- Uzdrowiacze nie są odporni na infekcję i nie mogą pracować bez leków - rzekł zdenerwowany Capiam. - Macie wielki magazyn medykamentów...

- Stworzony i utrzymywany przez moją zgasłą przedwcześnie małżonkę... - Jakże śmiał mówić tak głupio i ckliwie o mojej matce!

- Lordzie Tolocamp - słyszałam irytację w głosie Capiama - potrzebujemy waszej pomocy...

- Dla Ruathy, tak?

Ojciec nie obwiniał chyba Ruathy o wszystkie nieszczęścia?

- Inne Warownie poza Ruathą też mają swoje potrzeby! - odrzekł Capiam tak, jakby Ruatha zajmowała ostatnie miejsce na liście potrzebujących.

- Dysponowanie zapasami nie leży w kompetencji Lordów Warowni. Nie pozbędę się zapasów, które mogą się okazać potrzebne memu własnemu ludowi.

- Skoro Weyry - głęboki głos Tirone wyrażał gwałtowne uczucia, jakim w tej chwili ulegał - tak ciężko doświadczony zarazą, mogą przekazać część swoich kompetencji innym, poza bezpośrednio podległe im terytoria, jak ty możesz im teraz odmówić pomocy?

Niewzruszony upór ojca zaskoczył mnie.

- Mogę, i to bardzo łatwo. Po prostu mówię nie. Nikt z zewnątrz nie przedostanie się do Warowni. Ludzie z dalekich stron mogliby przywlec zakaźne choroby. Nie będę ryzykować życia swego ludu. Nie wydam niczego z magazynów. Czy do ojca nie dotarły meldunki o tysiącach śmiertelnych ofiar w Warowniach Keroon, Ista, Igen, Telgar i Ruatha? Matka i cztery siostry zmarły. Wraz z nimi służba im towarzysząca - około czterdziestu osób, a nie czterech czy czterdziestu tysięcy.

- Zabieram wobec tego uzdrowiaczy z Warowni - omal przyklasnęłam oświadczeniu

Capiama.

- Ale... ale... Nie możesz tego zrobić!

- Mogę - odparł mistrz Tirone. Krzesło skrzypnęło, gdy odsuwał je od stołu. Zakryłam usta ręką, żeby nie wydać głosu. - Rzemieślnicy podlegają jurysdykcji Cechu. Czyżbyś o tym zapomniał?

Cofnęłam się w cień wnęki, gdy drzwi otwały się gwałtownie i mistrz Capiam wypadł na korytarz. W świetle padającym z pokoju ojca ujrzałam wyraźnie gniewny wyraz twarzy mistrza. Tirone zatrzasnął drzwi za sobą.

- Zawezwę wszystkich! Potem przyjadę do ciebie do obozu.

- Nie sądziłem, że do tego dojdzie! - stwierdził Capiam ponuro.

Wstrzymałam oddech. Bałam się, że zmienią zdanie i wrócą do komnaty. Opór - oto czego potrzebował Tolocamp, aby otrząsnąć się z zamroczenia.

Tolocamp tym razem przeliczył się, jeśli chodzi o wspaniałomyślność Cechu! Mam nadzieję, że nasza stanowczość sprawi, że wszyscy inni przypomną sobie o naszych prerogatywach.

- Odwołaj naszych ludzi, ale nie idź do obozu, Tirone. Ktoś musi sprawować pieczę nad Cechami.

- Moi ludzie! - Tirone zaśmiał się gorzko. - Nieomal wszyscy męczą się teraz w tym przeklętym obozie. To ty powinieneś zostać na miejscu.

Zrozumiałam, dokąd powinnam pójść, jeśli chcę opuścić Warownię i co mogę zrobić, aby zadośćuczynić złu uczynionemu przez mojego ojca.

- Mistrzu Capiamie - powiedziałam występując z cienia - mam klucze do magazynów. - Pokazałam mu zapasowe klucze, które matka wręczyła mi na szesnaste urodziny.

- Skądże...? - zaczął Tirone pochylając się, aby przyjrzeć się z bliska mojej twarzy. Nie wiedział, kim jestem - podobnie jak Capiam - ale rozpoznawał mnie jako jedną z „tabunu z Fortu”.

- Lord Tolocamp jasno określił swoje stanowisko w sprawie rozporządzania medykamentami. Uczestniczyłam w gromadzeniu i zabezpieczaniu leków.

- Pani...? - Capiam czekał, abym podała swoje imię. Mówił łagodnym głosem i wydawał się życzliwy.

- Nerilka - powiedziałam. - Mam prawo dzielić się z wami owocami mojej własnej pracy.

- Tirone domyślał się, że podsłuchiwałam pod drzwiami, ale mało mnie to obchodziło.

- Stawiam tylko jeden warunek - potrząsnęłam pękiem kluczy zwisających z mojej dłoni.

- Nie wiem, czy spełnienie go leży w mojej mocy - odparł ostrożnie Capiam.

- Chcę opuścić Warownię wraz z wami i zajmować się chorymi w tym strasznym obozie.

Zostałam zaszczipiona. Lord Tolocamp był wielkoduszny. W żadnym razie nie zostanę tu, żeby znosić fochy kobiety młodszej ode mnie. Tolocamp wpuścił ją wraz z jej rodziną do naszej czcigodnej Warowni, a uzdrowicielom i harfiarzom pozwala umierać w obozie!

O mało nie dodałam: tak jak pozwolił umrzeć mojej matce i siostrze w Ruathcie.

- Zgoda? - pociągnęłam Capiama za rękaw.

Tolocamp, otrząsnąwszy się z szoku po ultimatum mistrzów, zaczął się ciskać. Wezwie Brandy'ego albo któregoś z moich braci.

- Zabiorę naszych ludzi, kiedy będę stąd wychodził - powiedział Tirone. Odwrócił się i odszedł.

- Młoda damo, zdajesz sobie sprawę, że jeśli opuścisz Warownię bez wiedzy ojca, zwłaszcza przy jego obecnym stanie ducha...

- Mistrzu Capiamie, wątpię, by zauważył brak mojej osoby. - Pomyślałam, że może to on właśnie powiedział Anelli, że nazywam się Nalka. - Te schody są bardzo strome - ostrzegłam Mistrza Uzdrowicieli. Włączyłam podręczne światełko.

Capiam potknął się parę razy, gdy schodziliśmy po krętych schodach. Odetchnął z ulgą, kiedy skręciliśmy w szerszy korytarz wiodący do magazynów. Siedział tam na ławce Sim z dwoma towarzyszami.

- Widzę, że szybko działasz - pochwaliłam Sima, najwyraźniej zaskoczonego widokiem mistrza. - Ojciec docenia bystrych ludzi.

Otworzyłam drzwi. Weszłam pierwsza i podniosłam wieka koszyków ze świetlikami. Capiam wydał cichy okrzyk rozpoznając pomieszczenie, w którym często razem z moją matką przyjmował chorych z Warowni. Poprowadziłam go do głównego magazynu.

- Spójrz, proszę, mistrzu Capiamie, na dzieło moich rąk, od czasu gdy zaczęłam ciąć liście i kwiaty, wykopywać z ziemi korzenie i bulwy. Nie twierdzę, że sama zapełniłam wszystkie półki. Moje zmarłe siostry też przynosiły mi to, co zebrały. Oby to wszystko okazało się jeszcze skuteczne w działaniu, ale nawet zioła i korzenie tracą z czasem moc. Część zbiorów dostarcza pożywienia piwnicznym węzom. - Usłyszałam szelest. To gady uciekały od światła.

- Simie, nosidła są tam, w kącie - powiedziałam podnosząc głos. Poprzednie uwagi przeznaczone były tylko dla uszu mistrza. Chciałam go upewnić, że to, co zabierzemy, nie zuboży w poważnym stopniu zasobów Tolocampa. - A wy weźcie te paki. - Kiedy słudzy zaczęli opróżniać półki, zwróciłam się do mistrza. - Mistrzu Capiamie, to jest sok z fellis. Zabiorę i to. - Podniosłam gąsior i przerzuciłam opasujący go rzemień przez ramię. - Zeszłej nocy przygotowałam świeże tussilago. W porządku, Simie. W drogę. Wyjdziemy przez kuchnię. Lord Tolocamp uskarżał się ostatnio, że zniszczono dywan w głównym holu. -

Kłamałam w żywe oczy. - Zastosujemy się do jego poleceń, nawet jeśli miałyby to oznaczać nadłożenie drogi.

Zamknęłam koszyki ze świetlikami i postawiłam gąsior, aby zamknąć drzwi magazynu. Nie zwracałam uwagi na wyraz twarzy mistrza Capiama. Niech sobie myśli, co chce, bylebym mogła wyjść z Warowni nie zauważona.

- Chciałabym wziąć więcej, ale większa liczba służących przy południowej zmianie warty nie uszlaby niepostrzeżenie - tłumaczyłam. Mistrz rzucił okiem na moje ubranie. - Nikogo nie będzie obchodziło, że jakiś sługa idzie dalej do obozu. Nikogo też nie zdziwi, że Mistrz Uzdrawicieli obładowany wychodzi drzwiami kuchennymi. Przyzwyczaili się już do tego. Zastanawiające byłoby, gdyby wychodził z pustymi rękami.

Zamknęłam wszystko starannie i teraz stałam kołysząc ciężkimi kluczami. Nie mogłam zostawić ich po prostu w drzwiach.

- Nigdy nie wiadomo, czyż nie? - mruknęłam do siebie, wkładając je na powrót do torby u pasa. Moja macocha ma zapasowe klucze. I myśli, że to jedyny zestaw. A moja matka uważała, że opieka nad magazynem to doskonale zajęcie dla mnie.

- Tędy, mistrzu Capiamie.

Szedł za mną. Spodziewałam się usłyszeć lada chwila jakąś uwagę czy radę z jego strony.

- Lady Nerilko, jeśli teraz odejdziesz...

- Odchodzę...

- ...w ten sposób lord Tolocamp...

Zatrzymałam się gwałtownie i spojrzałam mu w oczy. Nie wolno było dopuścić, aby ktoś w kuchni usłyszał, o czym mówimy.

- ...nie będzie za mną tęsknił. - Podnosząc gąsior zauważyłam, że Sim wychodzi właśnie bocznymi drzwiami. Uważałam, że lepiej będzie deptać mu po piętach, inaczej jego determinacja może osłabnąć. - W obozie przydam się na pewno. Umiem sporządzać leki, wyciągi i napary z ziół. Wolę robić coś pożytecznego, aniżeli gnić tu w jakimś kącie.

Nie dodałam, że szyłabym wówczas stroje dla macochy.

- Wiem, że twoi ludzie ledwie nadążają z pracą. Przyda się każda para rąk. - Poza tym - brzęknęłam kluczami w sakwie - w razie potrzeby mogę się tu zakraść. Nie ma się czemu dziwić. Słudzy stale się tu kręca. Dlaczego więc mnie nie miałyby się udać? - zwłaszcza że noszę teraz strój służącej, pomyślałam.

Musiałam dogonić Sima i pozostałych. Aby podtrzymać kamuflaż, musiałam także poruszać się jak sługa. Kiedy minęliśmy próg kuchni, opuściłam ramiona i głowę, skierowałam kolana ku sobie, dzięki czemu mój chód stał się ciężki i niezgrabny, udawałam, że uginam się pod

brzemieniem niesionym na plecach. Szurałam nogami po ziemi.

Mistrz Capiam spojrział w lewo, na przedni dziedziniec, gdzie mistrz Tirone schodził z rampy wraz z uzdrowiaczami, którzy opiekowali się dotychczas naszymi starcami. Byli z nim także trzech harfiarze.

Będzie patrzył na nich, nie na nas! - powiedziałam do mistrza Capiama. W otwartym oknie zauważyliśmy właśnie postać ojca. Może się przezięb i umrze. - Spróbuj iść mniej dumnym krokiem, mistrzu Capiamie. Jesteś w tej chwili zaledwie sługą, dźwigasz ciężki ładunek i niechętnie opuszczasz Warownię bojąc się śmiertelnej choroby, na którą umierają ludzie w obozie.

- Nie wszyscy w obozie umierają.

- Oczywiście, że nie - odparłam szybko, słysząc gniew w jego głosie. - Ale lord Tolocamp tak myśli. Ciągłe nam to powtarzał. Ach, spóźniona próba przeciwdziałania exodusowi! - przed ogrodzeniem Warowni widać było czubki hełmów.

- Nie zatrzymuj się! - Mistrz Uzdrowicieli przystanął, a ja nie chciałam, aby zwrócono na nas uwagę. Świetnie się złożyło, że uzdrowiciele i harfiarze wychodzili w tym samym czasie. - Idź powoli, słudzy nie lubią się spieszyć, ale nie zatrzymuj się.

Gapiałam się ciągle w lewo. Słudzy zazwyczaj chętnie odrywali się od wyznaczonych im zadań, by obserwować ciekawe zdarzenia w okolicy. Przyglądanie się, jak strażnicy gonią uzdrowiaczy i harfiarzy, było niezmiernie zajmujące. Zwłaszcza że strażnicy me kwapili się do wykonania rozkazów. Mogłam sobie wyobrazić konsternację Brandy'ego. „Aresztować Mistrza Harfiarzy, lordzie Tolocampie? Jakże mógłbym zrobić coś podobnego? Uzdrowiciele też? Czyż nie są teraz bardziej potrzebni we własnym Cechu niż tutaj?”

Nastąpiła krótka szamotanina, gdy Tirone przepychał się z niezbyt chętnie zastawiającymi mu drogę strażnikami. Sądzę, że doszło do krótkiej wymiany zdań, i w końcu mistrz Tirone oddalił się pośpiesznie drogą wraz ze swoimi ludźmi.

Zdążyliśmy przejść przez drogę przed nimi. Kurz wzbity przez opuszczających Warownię zakrył nasze ślady. Szłam nadal niezgrabnie i zastanawiałam się, czy ojciec w ogóle nas zauważył. Sim i dwaj pozostali dotarli do ogrodzenia. Theng przyglądał się ich ładunkom z niesmakiem. Przed chwilą wyszedł z małej chatki. Uspokoił się na widok koszyka z obiadem dla straży.

Martwiłam się, że mistrz Capiam może zostać uwięziony w obozie, podczas gdy nie powinien opuszczać Cechu bez względu na to, co powiedział mistrzowi Tirone.

- Jeśli przekroczysz tę granicę, mistrzu Capiamie, nie pozwolą ci wrócić.

- Do Warowni prowadzi wiele dróg, a czy tylko jedna wiedzie na zewnątrz? - odparł

nonszalancko. - Spotkamy się później, lady Nerilko.

Pomyślałam z ulgą, że ma rację. Z tej odległości widziałam już obóz. Mężczyźni i kobiety za linią straży czekali cierpliwie na żywność.

- Ależ proszę, mistrzu Capiamie. - Theng podszedł do nas zaniepokojony zamiarami Mistrza Uzdrawicieli. - Nie możesz iść tam i potem...

- Nie chcę, Thengu, żeby ciskali tymi pakunkami. Dopilnuj, żeby obchodzili się z nimi delikatnie.

Odwrociłam się udając, że mocuję się z gąsiorem, chcąc go opuścić na ziemię. Theng podniósłby alarm, gdyby mnie poznał. - Tyle mogę dla ciebie zrobić - odparł Theng. Ustawił gąsior obok paczek i krzyknął do ludzi w obozie: - Trzeba to nieść ostrożnie! Najlepiej zawołajcie uzdrawiciela. Mistrz Capiam mówi, że to lekarstwo.

Pragnęłam zapewnić Capiama, że będę czuwać nad tym, aby leki trafiły we właściwe ręce, ale nie śmiałam zbliżyć się do Thenga. Dowódca straży skupił uwagę na mistrzu Capiamie. Chciał dopilnować, aby Mistrz Uzdrawicieli wrócił tam, skąd przyszedł. Skorzystałam z okazji i ruszyłam w dół zbocza w stronę oczekujących tam ludzi.

- No tak, mistrzu Capiamie - mówił Theng. - Wiesz, że nie mogę dopuścić, abyś stykał się z własnymi ludźmi z obozu.

Ucieszyłam się ogromnie, że Theng interweniował w tym momencie. Może nie do mnie należał w tej sprawie osąd, ale czułam, że mistrz Capiam powinien przebywać tam, gdzie dotrą do niego wiadomości nadawane przez bębny i gdzie będzie mógł odbywać narady z innymi mistrzami. Zwłaszcza po tym jak obaj z Mistrzem Harfiarzy odwołali ludzi z Warowni. Mimo całego swego poświęcenia dla innych, mistrz Capiam nie powinien ryzykować życia w przeklętym obozie. Może teraz, gdy zaczęto wytwarzać szczepionkę, obóz zostanie rozwiązany, jednak dużo czasu upłynie, zanim Warownia, Cechy i Weyr wrócą do codziennej rutyny życia po wstrząsie, jakim była zaraza.

Także z egoistycznych pobudek cieszyłam się, że mistrz Capiam został po tamtej stronie. Pragnęłam zmienić nie tylko miejsce pobytu, ale i osobowość. Paru harfiarzy i uzdrawiaczy mogło mnie pamiętać, ale nikt przecież nie będzie szukał lady Nerilki w obozie dla internowanych, pośród chorych, narażonej na niewygodę i śmierć.

Desdra, mimo że nie powiedziała tego jasno, odrzuciła moją ofertę pomocy uważając, że młode damy z Warowni nie angażują się do takiej pracy z altruistycznych pobudek. Sądziła zapewne, że jestem niedouczoną i niewiele wartą osobką. Może nawet miała rację. Niektóre motywy mego postępowania nie przynosiły mi zaszczytu. Nie martwiłam się jednak utratą wysokiej rangi i pozycji. Myślałam raczej o tym, żeby robić coś dla innych, zamiast

bezpiecznie i bezużytecznie siedzieć w domu, marnując czas na takie głupstwa jak szycie sukien dla macochy. To zajęcie, tak stosowne dla dziewczyny o wysokiej randze społecznej, mogła równie dobrze wykonać pierwsza lepsza służąca.

Takie myśli przemykały mi przez głowę, gdy ruszyłam dalej. Dla niepoznaki nadal niezgrabnie utykałam. Było to dla mnie dość zabawne. Dziewczęta z Warowni zmuszano do stawiania drobnych kroczków, dzięki temu chodząc zdawały się frunąć nad podłogą. Nigdy nie opanowałam tej sztuki do końca.

Szłam za ludźmi, którzy przynieśli z obozu puste kosze. Większość z nich, jak zauważyłam, nosiła harfiarskie węzły. Barwy ich strojów zdradzały, że przeważają wśród nich przybysze z Warowni Rzecznej i Morskiej. Czy byli to zatrzymani podstępnie w drodze podróży, którzy szukali u Tolocampa pomocy? Droga skręciła w zarośla, gdzie zobaczyłam kilka byle jak skleconych baraków. Mieliśmy szczęście, że pogoda okazała się łaskawa. Zwykle bowiem w trzecim miesiącu wiało, zrywały się zamiecie śnieżne i temperatura silnie spadała. Nad każdym otoczonym kamieniami ogniskiem wisiał rozen albo metalowy kocioł. Czy to tutaj trafiała moja wzmacniająca zupa? Uświadomiłam sobie potem, że opatuleni w koce albo skóry ludzie grzejący się przy ogniu mieli szare, wynędzniałe twarze rekonwalescentów.

Na skraju zagajnika wznosił się większy barak. Do jego budowy użyto najdziwaczniejszych materiałów. Dochodzący stamtąd ochryply kaszel i jęki świadczyły, że był to główny szpital. W tym kierunku poniesiono gąsior z fellis. Ci, którzy dźwigali kosze z żywnością, zaczęli wydawać chleb ludziom przy ogniskach. Trzy kobiety zajęły się przekładaniem warzyw i kawałków mięsa do kotłów. Najstraszniejsze wrażenie wywarła na mnie panująca tam cisza.

W drzwiach szpitala powitał mnie wysoki, brodaty uzdrowiacz.

- Fellis, zioła, a co tam macie? - zapytał żywo.

- Tussilago. Lady Nerilka przygotowała je zeszłej nocy. Skrzywił się odbierając ode mnie gąsior.

- Pocieszające, że nie wszyscy tam zgadzają się z panem Warowni.

- To zakłamany tchórz. Uzdrowiacz uniósł brwi ze zdumienia.

- Młoda kobieto, niemądrze z twojej strony mówić w ten sposób o panu twojej siedziby, bez względu na motywy, jakie tobą kierują.

- Nie jest już moim panem - odparłam, śmiało patrząc mu w oczy. - Przyszłam tu, aby wam pomóc. Znam się na właściwościach ziół i na przygotowywaniu leków ziołowych. Pomagałam... lady Nerilce przy sporządzaniu tussilago. Nauczyła mnie wszystkiego, co wiem. Jej matka zmarła w Warowni Ruatha. Mogę opiekować się chorymi i nie boję się zarazy. Ci, których kochałam, już nie żyją.

Pocieszającym gestem położył dłoń na moim ramieniu. Nikt nie odważyłby się na podobną poufałość wobec lady Nerilki. Nie poczułam się ani trochę ponizona. Potraktował mnie jak istotę ludzką.

- Nie jesteś odosobniona w nieszczęściu. - Przerwał czekając, abym podała swoje imię. - W porządku, Rill. Przyjmuję wszystkich ochotników. Moja najlepsza pielęgniarka właśnie uległa chorobie... - skinął głową w stronę bladej jak płótno kobiety leżącej nieruchomo na legowisku z gałęzi. - Niewiele jesteśmy w stanie zrobić poza łagodzeniem objawów - poklepał pieszczotliwie pojemnik z tussilago - i modleniem się, aby nie wdała się wtórna infekcja. To jest główna przyczyna zgonów, nie sama zaraza.

- Wkrótce będzie dość szczepionki - powiedziałam, chcąc mu dodać otuchy, gdyż najwyraźniej przygnębiała go własna bezradność w obliczu zarazy.

- Gdzie o tym słyszałaś, Rill? - zniżył głos, zaciskając palce na moim ramieniu. Nie było to przyjemne.

- Wszyscy o tym wiedzą. Wczoraj zaszczepiono rodzinę pana Warowni. Serum jest coraz więcej. Jesteście tuż obok...

Mężczyzna z goryczą wzruszył ramionami.

- Tuż obok, ale nie najważniejsi.

Kobietą wstrząsnął atak gorączki. Zrzuciła okrycia. Podeszłam do niej natychmiast. Tak rozpoczęłam swój pierwszy dwudziestoczterogodzinny dzień pracy jako pielęgniarka. Sześćdziesięciorgiem ciężko chorych w szpitalu zajmowało się nas troje - brodaty uzdrowiacz, ja oraz Macabir, czeladnik uzdrowicielski. Nie wiem, ile osób było w obozie, bo liczba przebywających tam ludzi ulegała ciągłym zmianom. Niektórzy przybywali pieszo, inni na biegoniach. Spodziewali się uzyskać pomoc z Warowni lub Cechu. Odchodzili z niczym. Ciekawa byłam, ilu ludzi poddało się tak naprawdę nakazowi ścisłej kwarantanny. Nasza część kontynentu jest większa i bardziej zaludniona niż Wschód. Na obszarze podlegającym jurysdykcji Warowni Fort nie zanotowano tak wielu zachorowań jak w Ruathcie. Mówiono, że tylko energiczne działanie mistrza Capiama na początku epidemii uratowało prowincję Południowy Boli. Niektórzy uważali, że Ratoshigan zasłużył na taki los, jaki przypadł w udziale Ruathcie i młodemu lordowi Alessanowi.

Jak dotąd żył, ale z jego rodu ostał się tylko on i jego najmłodsza siostra. Poniósł zatem większe straty niż ja.

Byłam zagoniona, zdenerwowana, przemęczona i pozbawiona snu. Ale szczęśliwa! Szczęśliwa? Dziwne słowo, zważywszy, czym się zajmowałam w obozie oraz że w ciągu ostatnich dwóch dni straciliśmy dwanaścioro spośród sześćdziesięciu leżących w baraku i

przyjeliśmy piętnaścioro na ich miejsce. Ale po raz pierwszy w życiu czułam się użyteczna i potrzebna. Pełna zdumienia chłonełam milczącą wdzięczność pacjentów. Dla kogoś wysoko urodzonego jak ja pielęgnacja chorych była doświadczeniem nowym i niekoniecznie przyjemnym. Stłumiłam jednak odrazę, zwalczyłam mdłości, obciąłam włosy jeszcze krócej, podwinęłam rękawy i nie ustawałam w pracy. Taki był mój obowiązek. Nie zamierzałam się od niego uchylać.

Pewności siebie dodawała mi świadomość, że jestem odporna na chorobę. Czasami więc czułam się zmieszana pochwałami Macabira dla mojej odwagi. Potem do obozu wkroczył śmiało czeladnik uzdrowicielski niosąc dość serum, aby zaszczepić wszystkich. Oświadczył, że obóz zostanie rozwiązany. Chorych przeniesie się do Cechu Harfiarzy, gdzie na ich przyjęcie opróżniano właśnie baraki uczniów. Pozostali także znajdą nocleg w siedzibie Cechu, a rano mogą wyruszyć w drogę. I jeśli by zechcieli zabrać ze sobą zapas serum...

Zgłosiłam się na ochotnika, choć Macabir nastawał, żebym przeszła szkolenie w Cechu.

- Masz wrodzony talent do tego zawodu, Rill!

- Jestem o wiele za stara na uczennicę, Macabirze.

Co to znaczy stara, kiedy tak świetnie sobie radzisz z chorymi! Jeden Obrót i miałabyś za sobą wstępne szkolenie. Trzy Obroty i każdy uzdrawiacz byłby uszczęśliwiony mając w tobie asystentkę.

- Jestem wolna. Teraz mogę zobaczyć na kontynencie coś więcej niż jedną Warownię, Macabirze.

Westchnął pocierając dłonią pomarszczoną, zmęczoną twarz.

- No dobrze, w każdym razie pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

Rozdział VII

3.19.43-3.20.43

Wyruszyłam przed wieczorem. Wzięłam uproszczoną mapę, która miała mi pomóc w odnalezieniu drogi do trzech osad na północy, w pobliżu granicy z Ruathą, w których potrzebowano serum i innych medykamentów. Macabir usiłował przekonać mnie, abym poczekała do rana, ale przy pełni księżyca było dość jasno na drogach polnych, a z pomocą

nie należało zwlekać. Bałam się ryzykować, że Desdra albo ktoś inny z Warowni rozpozna w zaniedbanej służce lady Nerilkę.

Minęłam Warownię Fort nie spojrzawszy nawet w okno Tolocampa. Pozostawiłam za sobą rzędy chat i zabudowania gospodarcze. Zastanawiałam się, czy zauważył mnie ktoś z Warowni. Czy brakowało mnie komukolwiek z wyjątkiem Anelli i moich sióstr?

Byłam bardziej zmęczona, niż sądziłam. Parę razy zdrzemnąłam się w siodle. Na szczęście mój biegon był rzetelnym, spokojnym zwierzęciem i raz puszczony w drogę szedł naprzód bez konieczności kierowania. O północy dotarłam do pierwszej osady. Zaszczepiłam jeszcze domowników, nim całkiem opadłam z sił. Dali mi się wyspać do woli. Robiłam z tego powodu wymówki gospodyni, gdy zjawiała się o świcie z potężnym śniadaniem. Odparła, że pozostałe osady wiedzą już o moim przybyciu.

Udałam się w dalszą drogę. Wczesnym przedpołudniem dotarłam do kolejnej osady. Nalegali, abym zjadła z nimi posiłek, wyglądałam bowiem na bardzo zmęczoną. Wiedzieli, że tam, dokąd zmierzam, nikt nie zachorował, i chcieli wyciągnąć ode mnie wszelkie nowinki. Do tej pory o wydarzeniach dowiadawali się tylko dzięki bębnom. Wiadomość przekazywano z Warowni Górskiej leżącej na samej granicy z Ruathą.

W końcu przyznałam sama przed sobą, że celem mojej wędrówki jest Ruatha. Nieświadomie dążyłam do tego od wielu Obrotów, ale różne okoliczności krzyżowały moje plany. Teraz miałam coś do zaoferowania tej dotkniętej największym nieszczęściem Warowni - moje umiejętności. Tylko jeźdźcy smoków docierali do Głównej Warowni Ruatha. Krążyły przerażające plotki o skutkach epidemii w Ruathcie. Mogłam pielęgnować chorych, robić - w razie potrzeby - cokolwiek innego, aby tylko odpokutować winę ciążącą na mnie z powodu przedwczesnej śmierci matki i sióstr.

Uświadomiłam sobie, że zaraza nie oszczędzała nikogo, bez względu na rangę, stan zdrowia, wiek i użyteczność dla innych. Wprawdzie najstarsi i najmłodszy wydawali się bardziej narażeni, ale plaga pochłonęła również mnóstwo ludzi w kwiecie wieku.

Przybywszy wczesnym popołudniem do Warowni Górskiej, zaraz musiałam zabrać się do zaszycia głębokiej rany jednego z synów lorda i to pomimo moich protestów, że jestem tylko posłanniczką. Miejscowy uzdrowiciel po usłyszeniu wieści z Ruathy udał się do Warowni Fort. Ponieważ nie potrafiłam powiedzieć nic o mężczyźnie imieniem Trelbin, uznali pełni smutku, że on także nie żyje. Lady Gana powiedziała, że daje sobie radę z drobnymi skaleczeniami, ale leczenie takiej rany przekraczało jej możliwości.

Na tyle często asystowałam przy zabiegach chirurgicznych, że czułam się pewniej niż ona.

Szycie równym ścięciem materiału, który się nie skarży i nie zwija z bólu, to całkiem co

innego niż doprowadzanie do porządku poszarpanej ludzkiej skóry. Miałam dość fellis i innych środków odurzających, aby ulżyć chłopcu w cierpieniach. Miałam nadzieję, że moje szwy nie puszczą. Na koniec lady Gana wyraziła podziw dla mego dzieła.

Później wyjaśniłam, co to jest serum, i zaszczepiłam wszystkich poza pasterzami, którzy nigdy nie zbliżali się do zaludnionych gęściej obszarów na tyle, aby ulec zarażeniu. Lady Gana nie była jednak pewna, czy wiatr nie przenosi choroby, i chciała wszystkiego dowiedzieć się ode mnie. Nie uwierzyła, jak sądzę, moim zapewnieniom, że śmierć następuje w wyniku wtórnych powikłań u osłabionych pacjentów, a nie na skutek samej zarazy. Dlatego też nie mogłam przyznać, że nie jestem wykształconą uzdrowiaczką. Zniweczyłabym całe dobro, które wyrządziłam. Bez względu na to, czy przeszłam szkolenie, moje informacje były w pełni wiarygodne.

Lord Bestrum i lady Gana opowiedzieli mi potem o swoim synu i córce, którzy w towarzystwie służby wyjechali na jarmark do Ruathy i przepadli bez wieści.

Bestrum pracowicie szkicował dla mnie mapę, gdy na zewnątrz rozległy się głośnie okrzyki. Przez okno zobaczyliśmy dziwnie obładowanego błękitnego smoka, który opuszczał się na podwórzec. Wybiegliśmy, aby go powitać.

- Nazywam się M'barak, jeździec Aritha z Weyru Fort, przybywam po szklane butle zrobione przez uczniów. - Uśmiechnął się znacząco, wskazując pakunki umieszczone na grzbiecie smoka. - Czy macie jakieś butle dla Ruathy?

Był młody, ale należało mu się traktowanie stosowne do rangi. Przy kłahu i pysznym winnym cieście lady Gany powiedział nam, że biegonie także zdychają na skutek zarazy, trzeba je w związku z tym szczepić. Bestrum i Gana oznajmili z dumą, że tego ranka poddali się szczepieniu, i wskazali przy tym na mnie. Rozbawiła mnie zaskoczona mina M'baraka. Wziął mnie za jedną z domowniczek. Choć nosiłam nadal zgrzebne spodnie i filcowe buty, Macabir dał mi jeszcze tunikę uzdrowiciela: kaftan, abym nie zmarzła w podróży. Nie wyglądałam na prawdziwego uzdrowiciela i - w przeciwieństwie do miłych gospodarzy - doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

- Czy zamierzałaś wrócić do Cechu Uzdrowicieli? - zaczął M'barak. - Bo jeśli przypadkiem potrafisz sobie radzić z biegoniami przydałabyś się ogromnie w Ruathcie. Mogę cię zabrać... - w oczach migotały mu chytre, wesołe iskierki - i oszczędzić ci długiej i meczącej podróży. Tuero przesłałby na bębnie wiadomość, gdzie jesteś. Zbieramy ludzi na pomoc dla Ruathy. Ludzi, którzy przeszli szczepienie i nie boją się zarazy. Ty się nie boisz, co?

Potrząsnęłam głową, zdumiona szaleńczym pulsowaniem krwi w żyłach i gwałtownym biciem serca, gdy otrzymałam niespodziewane zaproszenie tam, dokąd tak desperacko

staralam się dotrzeć. Za życia Suriany tylko w Ruathcie spodziewalam się znaleźć odrobinę szczęścia i wolności. Pozbyłam się jarzma, które krępowało członków wysokich rodów, i mogłam teraz pójść, dokąd chciałam. Obecnie Ruatha musiała bardzo różnić się od tej Warowni, którą znałam z opisów Suriany. Ale teraz przydam się tam, zwłaszcza jako Rill, a nie lady Nerilka. To było zajęcie dla mnie i temu celowi chciałam się poświęcić.

- Jeśli potrzebujecie kogoś, kto umie się obchodzić z biegoniami, to mam tutaj dwóch ludzi, którzy marnotrawią czas na rzeźbieniu kościanych ozdóbek z braku innego zajęcia w porze zimowej - odezwał się żywo Bestrum. - Rill skłuliła ich, tak samo jak nas dzisiaj rano, nie będą się więc bali jechać do Ruathy.

Tak też się stało. Podczas gdy dwóch parobków, braci o tym samym flegmatycznym usposobieniu i silnej budowie ciała, pakowało się do drogi, lady Gana przyniosła jeszcze obszerny płaszcz dla ochrony przed dotkliwym zimnem przestrzeni pomiędzy. Gospodyni krzątała się razem ze sługami przygotowując dodatkowy prowiant dla udających się w drogę i pakując szklane słoje. Rozmieściliśmy je z M'barakiem na grzbiecie smoka tak, żeby nie popękały.

Widywałam już smoki ale nigdy z tak bliska. Mają ciepłą, bardzo gładką i miękką skórę. Od jej dotyku dłonie nabierają korzennego zapachu. Arith porykiwał raz po raz. M'barak zapewniał, że to nie z powodu niecodziennego bagażu. Pozawijaliśmy wielkie szklane pojemniki; w Warowni Fort leżało na składzie mnóstwo tych uczniowskich wprawek, ale zupełnie nie pamiętałam, do czego używała ich matka.

Po raz ostatni obejrzałam ranę chłopca. Wydawała się goić. Dzieciak po sporej dawce fellis spał głęboko i uśmiechał się. Potem pożegnałam się z Bestrumem i Ganą. Choć znaliśmy się zaledwie parę godzin, okazali mi ogromną serdeczność. Zapewniłam, że dowiem się o los ich dzieci i służącego, i dam im znać. Gana wiedziała, że szansę są nikłe, ale poczuła się pokrzepiona na duchu.

Bestrum pomógł mi wgramolić się na grzbiet smoka. Siedziałam tuż za szczupłymi plecami M'baraka. Miałam nadzieję, że nie uraziłam Aritha. Dwaj bracia wgramolili się bez większych problemów. Dodawała mi otuchy myśl, że za mną siedzi jeszcze dwóch ludzi, którzy w razie niebezpieczeństwa spadną pierwsi.

Arith podbiegł kawałek, nim skoczył ku niebu. Jego na pozór delikatne przezroczyste skrzydła uderzyły silnie powietrze. Opanowała mnie radość, jakiej nie doznałam nigdy w życiu. Na nowo pozazdrościłam jeźdźcom, gdy silne skrzydła Aritha wyniosły nas jeszcze wyżej. Płaszcz przydał mi się, podobnie jak zaporę z ciepłych ciał z przodu i z tyłu.

M'barak domyślał się, co czuję, bo odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Trzymaj się teraz, Rill. Wchodzimy w przestrzeń pomiędzy! - krzyknął. W każdym razie wydaje mi się, że to powiedział, bo wiatr przytłumił jego głos.

O ile lot na grzbiecie smoka dostarcza radosnych przeżyć, to przejście pomiędzy jest doświadczeniem przerażającym. Nieprzenikniona ciemność, nicość, zimno intensywne do bólu... Jedyne świadomość, że jeźdźcy i smoki przeżywają to samo na co dzień bez szkody dla zdrowia, powstrzymała mnie od krzyku. Kiedy poczułam, że się duszę, oblało mnie ponownie światło słoneczne. Arith z właściwym smokom nieomylnym instynktem zaniósł nas do miejsca przeznaczenia. A potem zapomniałam o wszystkim.

Nigdy nie byłam w Warowni Ruatha, ale Suriana przysyłała mi mnóstwo rysunków domostwa wraz z przyległościami. Ogromna Warownia, wykuta w skalnym zboczu, nie zmieniła się, ale w jakiś sposób różniła się zupełnie od tej, którą znałam z opisów. Suriana opowiadała mi o miłej atmosferze, o gościnności i serdeczności mieszkańców. Jakże to było różne od sztywnej, chłodnej manieri przyjętej w Warowni Fort. Przyjaciółka opisywała ciągły ruch, łąki, równiny, po których uganiał się jeźdźcy na biegoniach, malownicze pola ciągnące się aż do rzeki. Nie dożyła czasu, aby ujrzeć na własne oczy kopce grobowe, krąg poczerńiałej ziemi kryjącej ciała zmarłych oraz należące kiedyś do nich połamane wozy i przedmioty porozrzucane teraz nad przystanią, którą za szczęśliwszych czasów zdobyły barwne jarmarczne budy zwieńczone chorągiewkami.

Przeraziło mnie to. Prawie nie dotarło do mnie, że nawet flegmatycznych parobków zaszokował ten widok. Na szczęście M'barak był na tyle delikatny, że milczał, gdy Arith ślizgał się w powietrzu ponad opustoszałą Warownią. Jednakże zobaczyłam coś, co poprawiło mi humor: na dziedzińcu siedziało pięcioro ludzi, opalając się w promieniach południowego słońca.

- Dwa smoki, bracie - powiedział z zadowoleniem mężczyzna siedzący tuż za mną.

Przed nami dostrzegłam wielkiego spizowego smoka, który niósł swoich pasażerów do szerokiej bramy kompleksu gospodarczego. Spizowy wystartował ponownie, gdy Arith śmigał nad polami. Widzieliśmy słoneczne refleksy na skrzydłach i skórze bestii, a potem... stworzenie po prostu zniknęło. Arith osiadł dokładnie w tym samym miejscu co poprzednik.

- Moreta! - zawołał M'barak, wymachując rękami. Wysoka kobieta o krótkich kręconych włosach odwróciła się do niego. Pani Weyru Fort była ostatnią osobą, jaką spodziewałam się ujrzeć w Ruathcie.

To spotkanie z Moretą, w szczególnym momencie jej życia, gdy jej ogorzała od słońca twarz promieniała wewnętrznym spokojem, na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Jako pani Weyru od czasu ustąpienia Leri bywała, oczywiście, w naszej Warowni. Były to rzadkie,

oficjalne wizyty, więc choć przebywałyśmy pod jednym dachem, nigdy nie zamieniłyśmy ani słowa. Odniosłam wówczas wrażenie, że należy do osób nieśmiałych lub małowównych, Tolocamp gadał jednak tak wiele, że wątpię, aby w ogóle miała okazję zabrać głos.

- Pospiesz się! - głos M'baraka wyrwał mnie z zamyślenia. - Potrzebna mi pomoc przy tych butelkach. Sprowadziłem ludzi, którzy potrafią podobno radzić sobie z biegoniami. Musimy się spieszyć, bo chcę się przygotować na Opad. F'neldril obedrze mnie ze skóry, jeśli się spóźnię!

Dwaj mężczyźni i szczupła ciemnowłosa dziewczyna wysunęli się z cienia. Poznałam Alessana, dziewczyna była zapewne jego jedyną żyjącą siostrą, Okliną. Drugi mężczyzna nosił błękitne szaty harfiarza. Bracia szybko zsiadli na ziemię, a M'barak i ja podawaliśmy im pakunki. Wielkie butle przetrwały podróż nie uszkodzone.

- Gdy zejdziesz, Moreta będzie mogła wejść na górę - napomknął M'barak uśmiechając się przepraszająco za ten pośpiech.

Tak więc po raz pierwszy zamieniłam się miejscami z Moretą. Miałam ochotę nawiązać z nią bliższą znajomość, gdyż w jej sposobie bycia dostrzegłam coś niezmiernie pociągającego. Wydawała się mniej wyniosła, niż gdy gościła u nas w Warowni. Arith podbiegł, przygotowując się do lotu, Moreta spojrzała przez ramię, ale z pewnością nie mnie chciała jeszcze zobaczyć.

Odwrociłam się. Alessan osłonił oczy przed słońcem wpatrując się w smoka, póki ten nie zniknął w przestrzeni pomiędzy. Potem uśmiechnął się, witając mnie i obu braci. Wyciągnął w przyjaznym geście rękę.

- Przybywacie, aby pomóc przy biegoniach? Czy M'barak uprzedził was szczerze, co was czeka w zrujnowanej Ruathcie?

W pierwszej chwili wydawało mi się, że przemawia z goryczą, ale zrozumiałam, że nie usiłował uciec od ponurej rzeczywistości. Zawsze odznaczał się specyficznym poczuciem humoru, ale Suriana, przygotowując mnie do długo oczekiwanej wizyty w Ruathcie, uprzedziła mnie o tym. Co też pomyślałaby o swojej przybranej siostrze zjawiającej się w jej Warowni w tak niezwykłych okolicznościach?

- Bestrum nas przysłał, lordzie Alessanie, z kondolencjami i pozdrowieniami - odezwał się starszy z parobków. - Jestem Pol, mój brat nazywa się Sal. Lubimy biegonie bardziej niż inne zwierzaki. Alessan zwrócił na mnie swoje pogodne jasnozielone oczy. Przeleciało mi przez głowę wszystko, co Suriana o nim opowiadała. Ale rysunki, które także przysyłała, nie przedstawiały go wiernie, a może zmienił się nie do poznania od czasów młodości. Jego oczy i usta nabrały teraz głębszego wyrazu, na twarzy mimo powitalnego uśmiechu widniał

smutek. Smutek, który mógł z czasem zelżeć, ale nigdy - zniknąć. Alessan był chudy, wyniszczony gorączką, kości ramion przebijały przez tunikę, a jego dłonie pokryte były odciskami, pęknięciami i zadrapaniami. Wyglądały niczym ręce zwykłego sługi, a nie pana Warowni.

- Jestem Rill - powiedziałam, przywołując się do porządku. - Zawsze zajmowałam się biegoniami. Mam nieco doświadczenia w leczeniu i sporządzaniu medykamentów z ziół, korzeni i bulw. Trochę zapasów przywiozłam ze sobą.

- Czy masz coś na przewlekły kaszel? - zapytała dziewczyna. Jej wielkie ciemne oczy lśniły. Nie sądziłam, aby można to było przypisać memu pojawieniu się czy też dostawie syropu przeciw - kaszlowego. Dopiero dużo później dowiedziałam się, jak nie zwykłe chwile przeżyli ci dwoje tuż przed naszym przybyciem.

- Tak, mam - odparłam, podnosząc tobołki wyładowane butelkami z tussilago.

- Pan Bestrum chciałby się dowiedzieć, czy jego syn i córka żyją - oświadczył Pol bez ogródek. Przeszepował przy tym nerwowo z nogi na nogę, a jego brat unikał wzroku lorda Alessana.

- Zajrzę do dzienników - powiedział harfiarz łagodnie, ale zauważyliśmy wszyscy, że uśmiech w oczach Alessana zgasł. Oklina lekko westchnęła. - Jestem Tuero - ciągnął harfiarz.

- Alessanie, jakie rozkazy na dzisiaj?

I w ten sposób Tuero odwrócił nasze myśli od smutnej przeszłości. Nie mieliśmy zresztą czasu na rozmyślanie. Pochłonęła nas teraźniejszość.

Alessan wydał prędko dyspozycje. Po pierwsze, należało przenieść tych niewielu chorych, którzy pozostali jeszcze w głównej sali, do kwater na drugim poziomie Warowni. Następnie należało wyszorować salę wywarem krasnoziela. Mówiąc to popatrzył na Pola i Sala.

- Musimy przygotować dostateczną ilość serum, aby zaszczepić biegonie. - Odwrócił się w stronę łąki. - Pobierzmy krew od tych, które przeżyły zarazę.

Pol zamarł na moment i popatrzył na Sala. Musze przyznać, że widok biegoni i mnie zaskoczył. Wiele zwierząt bardzo wychudło - skóra i kości. Miały wysokie zady i patykowate szyje. Wszystko to różniło je zdecydowanie od mocno zbudowanych, umięśnionych i wytrzymałych rumaków stanowiących dumę Warowni Ruatha. Niektóre robiły wrażenie chodzących szkieletów. Alessan zauważył naszą konsternację.

- Większość zwierząt wyhodowanych przez mego ojca padła - powiedział rzeczowym, spokojnym tonem. - Krzyżówki, które ja sam wyhodowałem, przeznaczone do szybkiej jazdy na krótkich dystansach, okazały się odporniejsze, podobnie jak niektóre mieszańce sprowadzone przez naszych gości.

- Jakie to przykre, jakie to przykre - mruknął Pol potrząsając siwą głową. Jego brat zachowywał się dokładnie tak samo.

- Och, jeszcze wyhoduję piękne silne zwierzęta. Czy znacie mojego stajennego Daga? - zapytał Alessan. Bracia ucieszyli się i pokiwali głowami z większym zapałem. - Zachował kilka żrebných klaczy i młodego ogiera na górskich pastwiskach. Mamy więc z czego wyhodować nowe stado.

- Miło to słyszeć, panie. Miło słyszeć. - Sal przemawiał bardziej do biegoni niż do Alessana, który uśmiechnął się przeprasząco.

- Zanim zabierzemy się do pobierania krwi na serum, musimy przygotować czyste, wolne od zarazków pomieszczenia do pracy.

Poi zaczął zawijać rękawy.

- Zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby ci pomóc, panie. Sprzątaliśmy już nieraz.

- Dobrze - rzekł Alessan, uśmiechając się ponownie. - Jeśli nie wyszorujemy wszystkiego jak należy za pierwszym razem, czeladniczka Desdra każe nam to powtarzać do skutku! Przybędzie jutro, aby sprawdzić wyniki naszej pracy.

Kiedy znaleźliśmy się na podwórku przed wejściem do Warowni, zobaczyliśmy grupę pracujących ludzi. Tuero, mężczyzna zwany Deferem, pięciu wychowanków i czterech rekonwalescentów z gospodarstw należących do Ruathy budowało jakieś dziwne urządzenie z kół od wozów.

- Zrobimy kilka centryfug, żeby oddzielać cudowne serum od krwi - wyjaśnił nam Alessan. Bracia pokiwali głowami, jakby dobrze wiedzieli, o co chodzi. Sal wydawał się jednak nieco zmieszany i zaskoczony.

Oklinę spotkaliśmy wewnątrz Warowni. Szła na czele procesji sług niosących wiadra z gorącą wodą, szmaty i szczotki. Sama dźwigała pojemniki, w których trzyma się zwykle silny płyn do czyszczenia. Wszyscy podwinęliśmy rękawy. Zauważyłam, że Alessan miał zaczerwienione dłonie, choć na ramionach prawie nie widać było śladów podrażnienia. Zabraliśmy się do pracy.

Sprzątaliśmy, póki koszyki dawały światło. Gdy zgłodnieliśmy, chrupaliśmy bułki nie przerywając pracy. Nie zwracaliśmy uwagi na ostry smak, jaki przemożny zapach krasnoziela nadawał jedzeniu. Szorowaliśmy, dopóki nie trzeba było wymienić świetlików.

Alessan potrząsnął mną energicznie, abym zaprzestała mycia, i dopiero wtedy zauważyłam, że inni już nie pracują.

- Szorujesz śpiąc, Rill - powiedział kpiąco, ale z niezwykłą czułością. Posłałam mu smutny uśmiech.

Ledwie zdołałam dowlec się po schodach do pokoju na pierwszym piętrze, który wyznaczyła mi Oklina. Pamiętam, że zamykając drzwi życzyłam jej dobrej nocy. Wiedziałam, że powinnam przemyśleć, co mam powiedzieć Desdrze następnego dnia, by nie wydała mnie jako zbuntowanej córki Tolocampa. Ale ledwo położyłam się do łóżka, natychmiast zasnęłam.

Rozdział VIII

3.21.43-3.22.43

Obudziłam się przerażona. Musiałam się upewnić, że nie jestem w swoim pokoju w Warowni Fort. Cisza wokół była tak głęboka, że zaniepokoiło mnie to jeszcze bardziej aniżeli nieznane otoczenie. Potem zrozumiałam, czego mi brak - bębny milczały. Wstałam i narzuciłam ubranie. Tak zaczął się mój pierwszy poranek w Ruathcie.

Piłam właśnie klah i jadłam owsiankę, gdy pojawiła się Desdra na grzbiecie Aritha. Wyszliśmy przed budynek. Smok znów był udekorowany butelkami - dużymi i małymi - na serum.

Nie udało mi się porozmawiać z Desdrą, bo Alessan zabrał mnie wraz z braćmi na pole.

Albo zwierzęta nie otrząsnęły się jeszcze z apatii po przebytej chorobie, albo też dobrze je wytresowano. W każdym razie byliśmy w stanie prowadzić po dwa naraz. Za trzecim obrotem stajnie były pełne. Alessan pokazał nam, jak pobierać krew z szyi zwierząt. Stworzenia poddawały się cierpliwie zabiegowi. Pracowałam z Salem, ale kiedy zobaczyłam, że niesporo mu idzie wbijanie cierniowej igły w żyłę, sama się tym zajęłam, a Sal przytrzymał zwierzęta za głowę.

Do południa puściliśmy krew dwudziestu czterem biegoniom. Po każdym pobraniu zlewano krew do wielkich słoików, potem transportowano je do Warowni i stawiano przy centryfugach. Chociaż nie ja jedna miałam wątpliwości co do skuteczności tych urządzeń, z Desdry emanowała taka spokojna pewność siebie, że nikt nie zadawał pytań. Sprawdziła wiązania i rozkazała puścić koła w ruch. Pracujący zmieniali się często przy kole zamachowym, utrzymując ciągle to samo tempo obrotów.

Pomyślałam, ile bałaganu narobiłby jeden rozbity słoik i ile sprzątanego by nas to kosztowało, uznałam jednak, że takie myśli, wobec ogólnej atmosfery nadziei i chęci działania, były raczej nie na miejscu.

Oklina zjawiała się z solidnymi porcjami zupy i ciepłymi bułkami. Kiedy przyszła Desdra, część z nas tłoczyła się przy stole, pozostali siedzieli rozparci pod ścianami. Wyjaśniła nam,

jak pilne i doniosłe jest nasze zadanie. Tylko masowe i natychmiastowe zaszczepienie zagrożonych biegoni mogło nas uchronić przed powrotem zarazy. Wszyscy w Ruathcie przyłożą do tego ręki, gdyż nie wolno dopuścić, aby epidemia ponownie zdziesiątkowała ludność kontynentu. W sali zapadła cisza.

Podczas gdy kończono produkcję pierwszej porcji serum, Poi, Sal i ja wróciliśmy do stajni, aby sprawdzić, jak miewają się nasi pacjenci. Dag mieszał właśnie karmę złożoną z ciepłych otrębów, wina i ziół. Miała ona, wedle jego słów, pobudzić wytwarzanie nowej krwi w organizmach zwierząt. Potem doprowadziliśmy biegonie do porządku wyczesując błoto i rzepy z ich grzyw.

Pomimo chorej nogi Dag pracował na równi z nami. Czego sam nie był w stanie zrobić, robił za niego wnuk, łobuzowate, bezczelne, zarozumiałe chłopaczysko o imieniu Fergal. Nie ufał nikomu, zwłaszcza wobec Alessana zachowywał się podejrzliwie. Jediną osobą, której polecenia wykonywał bez mrugnięcia okiem, była Oklina. Wszelkie inne rozkazy otwarcie kwestionował. Uwielbiał za to Daga. Uważał, że mały pastuch o pałakowatych nogach jest nieomylny. Jednakże przy całym swoim przykrym charakterze chłopak poświęcał się biegoniom bez reszty. Ze szczególną czułością opiekował się ciężarną klaczą. Choć była wielka i obrzmiała, z niezwykłym wdziękiem przechylała łeb na bok, poruszała uszami i stała spokojnie w obecności chłopca.

- Pierwsza porcja będzie wkrótce gotowa - oznajmił Alessan.

Zdumiało mnie, że w grupie ludzi pracujących w stajni tylko ja i Fergal byliśmy ciekawi wyniku. Pol i Sal zaszyli się gdzieś w kącie, aby pogadać z Dagem, uprzejmie odrzuciwszy propozycję obejrzenia serum.

Widok słomkowożółtego dziwnego płynu, końcowego produktu naszej pracy, przeraził mnie. Gdy dotarliśmy do sali, Desdra przelewała serum ze słoja wyjaśniając, jak należy to robić, żeby nie wzburzyć ciemnego osadu. Pod jej nadzorem zabraliśmy się do pracy przelewając przejrzysty płyn do szklanych butli i przygotowując czyste igły cierniowe, aby uniknąć ewentualnego zakażenia. Desdra zapędziła do tej pracy każdego, nawet troje najsilniejszych rekonwalescentów. Patrzyła nam ciągle na ręce, pilnując, abyśmy nie ustawiali w wysiłkach.

- Dziś wieczorem powinno być więcej butelek - powiedział Tuero. Pragnął, aby zabrzmiało to radośnie, ale w odpowiedzi usłyszał tylko jęki. - M'barak zapewniał, że da znać o naszych potrzebach.

- Ile tego świństwa nam potrzeba? - zapytał Fergal. Spojrzał ku polu, gdzie pasły się jego ukochane biegonie.

- Dość, aby zaszczepić klacze i źrebięta z Keroon, Telgaru, Ruathy, Fortu, Boli, Igen i Isty.

Resztki stad, które przetrwały zarazę - rzekł Alessan. Powstrzymałam jęk, gdy pomyślałam, ile jeszcze serum potrzeba.

- W Iście nie hoduje się biegoni. To wyspa - oświadczył zaczepnie Fergal.

- Podczas zarazy ucierpieli i ludzie, i zwierzęta - odparł Tuero. Alessan milczał. - Keroon i Telgar także zajmują się produkcją serum, więc nie wszystko musi robić Ruatha.

- Choć tyle Ruatha może uczynić dla Pernu - odezwał się Alessan. - Postarajmy się, aby najlepsze serum pochodziło od naszych zwierząt. Wróćmy do pracy.

Pracowaliśmy wytrwale. Ci, którzy nie całkiem wrócili do zdrowia, siedzieli przy zlewach myjąc szklane pojemniki albo zakorkowując starannie butelki i pakując je do trzcinowych koszy. Najmłodszy przekazywali polecenia lub parami znosili skrzynie z serum do piwnic.

Do mnie należało puszczanie krwi zwierzętom. Niemal z ulgą opuszczałam pokój przesiąknięty zapachem krasnoziela, aby odprowadzić zwierzę na pole i zabrać następną. Mogłam przez parę chwil pooddychać świeżym powietrzem. Dag farbą znakował zwierzęta, którym już pobrano krew, by nie kłuć ich dwa razy. Żadne nie przeżyłoby zbyt dużej utraty posoki. W trakcie moich wędrówek miałam okazję przyjrzeć się zrujnowanej Ruathcie. Stwierdziłam, że w krótkim czasie i przy niewielkim wysiłku dałoby się przywrócić poprzedni stan rzeczy. Chodząc tak w tę i z powrotem wypracowałam strategię działania na wypadek, gdybym miała jakiś udział w decyzjach dotyczących Ruathy.

Nad ranem odezwały się bębny zawiadamiając nas, jakich ilości serum potrzeba i ile wezmą poszczególni jeźdźcy. Alessan domagał się, żeby wszystko dokładnie zanotowano, ale Tuero zbyt był potrzebny gdzie indziej, aby rozszyfrowywać kod.

- Niech więc Rill się tym zajmie - powiedziała Desdra.

- Czy rozumiesz mowę bębnow, Rill? - zapytał zdumiony Alessan.

Tak mnie zaskoczył, że nie byłam w stanie odpowiedzieć. Myślałam, że Desdra nie rozpoznała w brudnej, spoconej, krótko ostrzyżonej dziewczynie córki Tolocampa.

- Kody pewnie też, prawda Rill? - Desdra się nie krępowała, ale przynajmniej nie powiedziała, skąd wie o moich umiejętnościach. - Może napełniać butelki w przerwach między nadawaniem wiadomości. Powinna trochę odetchnąć. Przez parę dni pracowała ponad siły.

Przyjęłam to za znak, że Desdra docenia moją pracę tutaj w obozie internowanych. Na szczęście nawet Alessan nie dochodził, w jaki sposób sługa, która awansowała do pozycji ochotnika uzdrowiciela, nabyła wiedzę w tak poważnej materii.

Szansa na chwilę wytchnienia wzbudziła mój zachwyt. Skąd Alessan czerpał energię? Rozumiałam, dlaczego Suriana go podziwiała i uwielbiała. Zasługiwał na szacunek, a mój

respekt wobec niego wzrastał z każdym dniem. Widziałam, że wytyczył sobie jasny cel. Wbrew wszelkim przeciwnościom chce odbudować Warownię Ruatha, sprawić, że do opustoszałych domostw powrócą mieszkańcy, a na polach znów pojawią się liczne stada. Zapragnęłam zostać tu i pomóc Alessanowi.

Złapałam się także na tym, że gdy wracałam do Warowni, odruchowo wchodziłam w starą rolę i wydawałam polecenia sługom albo wyjaśniałam, jak skutecznie wypełnić jakieś zadanie. Ha szczęście nikt nie próbował podważyć moich praw.

Choć z pozoru krucha i delikatna, Oklina pracowała równie ciężko jak brat, ale ogrom ciężących na niej obowiązków budził we mnie współczucie. Ja zawsze miałam siostry do pomocy. Ilekroć mogłam, starałam się ulżyć jej w pracy. Nie wyróżniała się urodą i ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że z tego powodu tak łatwo przyszło mi się do niej zbliżyć. Śniada cera i ostre, raczej chłopięce rysy twarzy nie dodawały jej uroku, podobnie jak mnie, nie służyły jej cechy rodzinnego podobieństwa. Miała jednak mnóstwo wdzięku, czarujący uśmiech i ogromne, ciemne wyraziste oczy. Przyłapywałam ją czasem na tym, jak wpatruje się w horyzont. Podejrzewałam, że się zakochała. Byłaby mimo młodego wieku znakomitą żoną dla władcy Warowni. Pragnęłam gorąco, żeby Alessan nie usiłował zatrzymać jej w Ruathcie, lecz pozwolił osiąść gdzieś z mężczyzną o dobrym i uczciwym sercu.

Ruatha cierpiała teraz biedę, ale ród Warowni cieszył się niezachwianym prestiżem. Także pełna poświęcenia praca nad uzyskaniem serum, której z takim zapałem podjęli się Alessan i Oklina, dodawała im splendoru w oczach innych.

Tak więc pracowaliśmy dalej, nie ustając w trudzie, czasem łyknąwszy parę łyżek zupy z kotła i pogryzając w wolnej chwili kęs świeżego chleba. Pojawiły się nawet świeże owoce. Dostarczał je jeden z jeźdźców. Nie miałam pojęcia, dlaczego kawałki dojrzałego melona wywołują łzy w oczach Okliny. Wątpiłam, aby wzruszył ją gest jeźdźcy. Potem zauważyłam, jak Alessan spogląda na owoce z lekkim uśmiechem, tak jakby coś mu przypominały. Mogłam się mylić, bo szybko zabrał się do roboty... potem odezwały się bębny i musiałam uważnie słuchać.

W nawale pracy straciliśmy poczucie czasu. Podczas trzeciego dnia mojego pobytu w Ruathcie, kiedy większość z nas wyszła, by zjeść spóźnioną i dobrze zasłużoną kolację, Alessan, Desdra i Tuero, obejrzawszy mapy, spisy i plany, zaczęli wydawać okrzyki radości.

- Dokonaliśmy tego, czcigodna drużyno! - zawołał Alessan. - Mamy więcej serum, niż potrzeba! Nie musimy trząść się nad każdą rozbitą butelką! Wino dla wszystkich! Oklino, zabierz Rill i przynieście cztery butelki z moich prywatnych zapasów.

Rzucił jej długi cienki klucz, który dziewczyna złapała zręcznie w powietrzu. Chwyciła mnie

za rękę i radośnie się śmiejąc pociągnęła do kuchni, a potem na dół, do piwnic za chłodnią.

- Wpadł w dobry humor, Rill. Rzadko kiedy rozstaje się z butelkami z własnej piwniczki - zachichotała. - Trzyma je na specjalną okazję.

Jej wdzięczna mała twarzyczka posmutniała nagle.

- Mam nadzieję, że takowa wkrótce się zdarzy - dodała tajemniczo. - Wkrótce będzie musiał... Jesteśmy na miejscu.

Otworzyła wąskie drzwi i pokazała mi półki pełne butelek i bukłaków. Sapnęłam ze zdumienia. Nawet w mdłym świetle z korytarza byłam w stanie rozróżnić butelkę z Benden. Szybko starałam kurcz z etykiety.

- To jest białe bendeńskie! - krzyknęłam.

- Piłaś takie wino?

- Nie, oczywiście, że nie, - Tolocamp nie pozwoliłby, aby jego córki piły rzadkie roczniki. Rudawy moszcz z Tillek był w sam raz dla nas. - Ale słyszałam o nim. - Udało mi się roześmiać. - Czy naprawdę jest takie dobre, jak mówią?

- Sama się przekonasz, Rill.

Zamknęła drzwi i wzięła ode mnie połowę brzemienia.

- Czy przeszłaś szkolenie w Cechu Uzdrowicieli, Rill?

- Nie, nie - nie zdobyłam się na to, aby okłamać Oklinę, nawet jeśli miałam z tego powodu stracić w jej oczach. - Zgłosiłam się na ochotnika jako pomoc pielęgniarską, bo we własnej Warowni nie byłam już potrzebna.

- Och, czy twój mąż zmarł w czasie zarazy?

- Nie miałam męża.

- Alessan się tym zajmie. To jest, oczywiście, jeśli zechcesz zostać w Ruathcie. Tak nam pomogłaś, Rill. I wydaje się, że znasz się na zarządzaniu Warownią. Rozumiesz, będziemy musieli zacząć wszystko od nowa, tak wielu naszych ludzi zmarło. Mnóstwo domostw opustoszało. Alessan zamierza rozmawiać z bezdomnymi w nadziei, że napotka takich, którzy mu się spodobają, ale ja wolałabym zatrzymać paru spośród tych ludzi, których już poznaliśmy i którym ufamy. Och, Rill, mówię tak nieskładnie. Alessan posłał mnie, żebym wybadła, czy zostaniesz w Ruathcie. On cię ogromnie szanuje. Tak nam pomogłaś. Tuero zamierza zostać - Oklina zachichotała - bez względu na to, jak dogada się z Alessanem w sprawie pensji i dodatków.

Harfiarz i Lord Warowni dyskutowali na ten temat przy każdym spotkaniu. Tuero przybył na jarmark wraz z innymi harfiarzami, aby wspomagać stałego harfiarza Ruathy. I ten ostatni, i towarzysze Tuero padli ofiarą zarazy. Nie wyobrażałam sobie Warowni Ruatha bez Alessana

i Tuero docinających sobie żartobliwie.

Gdy wróciliśmy do głównej sali, część kół i butelek na serum postawiono już pod ścianami. Alessan i Tuero sprząтали ze stołu, przy którym zwykliśmy spożywać na chybcika posiłki. Dag i Fergal przynieśli z kuchni zupę. Deefer przytасzczył talerze i sztuczce. Desdra dźwigała naręcze bochnów chleba oraz wielką drewnianą misę owoców i sera. Część wiktuałów przysłała lady Gana. Follen zjawił się z kielichami i korkociągiem.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy wesołej biesiady. Wszyscy cieszyli się z zakończenia harówki ostatnich dwóch dni.

Pozostało nas zatem tylko ośmioro z oddanej drużyny Alessana, przypadkowa zbieranina przy wspólnym posiłku. Świadomość wypełnienia niemal niewykonalnego zadania na czas sprawiła, że czuliśmy się sobie bliscy, nawet Fergal dzielił to uczucie. Odmówił wina w tak niegrzeczny sposób, że jak sądzę, Alessan zniósł to bez słowa tylko ze względu na ciężką pracę, jaką chłopak wykonał. Założyłabym się, że Fergal jak każdy z nas zdawał sobie sprawę z wyjątkowości okazji i poczęstunku. Należał do tego gatunku ludzi, którzy od kołyski wszystko wiedzą lepiej. Mimo to bardzo go lubiłam.

Ta kolacja była dla mnie szczęśliwym wydarzeniem. Alessan zajął miejsce obok mnie. Jego bliskość dziwnie mnie podnieciła. Staralam się nie dotykać go, ale na ławach było ciasno. Siedział tuż przy mnie, więc jego ręka dotykała od czasu do czasu mojej, a jego udo ocierało się o moje. Uśmiechał się do mnie, gdy Tuero udał się szczególnie jakiś dowcip. Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. Zdawałam sobie sprawę, że śmieję się trochę zbyt piskliwie i głupkowato. Zmęczenie powodowało, że bardzo silnie przeżywałam nasz sukces, a poza tym świetne bendeńskie wino szumiało mi w głowie.

W pewnym momencie Alessan pochylił się do mnie muskając moje przedramię czubkami palców. Poczułam mrowienie.

- Co sądzisz o tym winie, Rill?

- Przyprawia mnie o zawrót głowy - odparłam szybko, by wytłumaczyć moje nieco dziwaczne zachowanie. Z drugiej strony bardzo mi zależało na tym, aby zachował o mnie dobre zdanie.

- Należy nam się dziś wieczór odpoczynek. Zasłużyliśmy na to.

- Ty bardziej niż ktokolwiek inny, Alessanie.

Wzruszył ramionami i spojrzał na swój kielich, oplatając palcami jego nóżkę.

- Muszę robić, co do mnie należy - odparł cicho. Pozostali przy stole dyskutowali o czymś zawzięcie.

- Dla Ruathy - mruknęłam.

Popatrzył na mnie z lekkim zdziwieniem. Jego niezwykle, nakrapiane zielonymi plamkami

oczy złagodniały.

- Słusznie zauważyłaś, Rill. Czy byłem bardzo wymagający?

- Dla dobra Ruathy.

- Nie robiłem tego dla dobra Warowni - machnął ręką w stronę kół i pustych słoików.

- Ależ tak, sam tak powiedziałeś. Ruatha może uczynić choć tyle dla Pernu.

Zaśmiał się, lekko zmieszany, ale wydawał się zadowolony.

- Ruatha będzie znowu taka sama jak dawniej! Jestem tego pewna! - bezpieczniej było rozmawiać o przyszłości.

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Rozmawiałaś zatem z Okliną? Zostaniesz z nami?

- Bardzo tego pragnę. Zaraza uczyniła mnie bezdomną. Ciepłą, silną dłońią uścisnęła lekko moją rękę.

- Czy masz jakieś szczególne życzenia, Rill, żeby przypieczętować nasz układ? - jego oczy rozbłysły, gdy zwrócił głowę ku Tuero.

Pytanie padło tak nieoczekiwanie, że nie mogłam skupić się na odpowiedzi. Spełniło się moje pragnienie pozostanie w Ruathcie. Zaczęłam się jękać i wtedy Alessan położył mi dłoń na ramieniu.

- Pomyśl o tym, Rill, i powiedz mi później. Przekonasz się, że dotrzymuję słowa.

Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej.

Uśmiechnął się wobec stanowczości tego stwierdzenia, dolał wina do kielichów. Uczciliśmy zawarcie naszej umowy w tradycyjny sposób, choć wino z trudem przeszło przez moje ściśnięte z radości gardło. Jedliśmy potem chleb i ser, słuchając rozmów przy stole i muzyki dochodzącej z podwórza.

- Mistrz Balfor nie za bardzo przypadł mi do gustu, lordzie Alessanie - mówił Dag z oczami utkwionymi w winie. Owego Balfora wyznaczono na nadzorcę stajni w Keroon.

- Nie został jeszcze zatwierdzony - rzekł Alessan. Nie miał najwidoczniej ochoty dyskutować teraz na ten temat, zwłaszcza nie przy Fergalu, który zawsze nadstawiał ucha, gdy mówiono o czymś, czego nie powinien słyszeć.

- Zastanawiam się, kto inny mógłby objąć tę funkcję. Mistrzowi Balforowi z pewnością brakuje doświadczenia.

- Postępował zgodnie ze wskazówkami mistrza Capiama - powiedział Tuero spoglądając na Desdrę.

- Och, jakże mi smutno na myśl, ilu wspaniałych ludzi zmarło. - Dag uniósł kielich w milczącym toaście. Wypiliśmy. - Jeszcze smutniej, że tyle wspaniałych rodów po prostu

przestało istnieć. Kiedy pomyślę o wyścigach, w których Squealer nie znajdzie sobie równych, nikogo, kto mógłby mu stawić czoło... Mówicie, że Runel nie żyje? Czy cały ród wyginął?

- Najstarszy syn z rodziną żyje i pozostał w Warowni.

- O tak. To właściwy człowiek na właściwym miejscu. Zjrzę teraz do tej gniadej klaczy. Dziś w nocy może się ożrebić. Chodź, Fergal. - Dag podniósł chorą nogę i przełożył ją ponad ławkę. Fergal zrobił buntowniczą minę.

- Pójdę z tobą, jeśli pozwolisz - powiedziałam wręczając Dagowi kule. - Narodziny to szczęśliwa chwila. - Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem i pozbyć się oparów mocnego bendeńskiego wina. Musiałam także uwolnić się od silnie mnie pobudzającego towarzystwa Alessana.

Moje serce biło nierówno z emocji. Nie chciałam wprawiać Alessana w zakłopotanie wylewnymi zapewnieniami o wdzięczności i lojalności. Uśmiech losu sprawił, że stał się cud: proszono mnie, bym została w Ruathcie. Nieważne, że powód był prozaiczny - uznano, że się mogę przydać. Ufano mi, a Ruatha przystępowała do odbudowy. Usiłowałam nie bawić się w spekulacje na temat tego, co powiedziała Oklina, albo czego nie powiedział Alessan. To, że mogę mieszkać w Ruathcie, zupełnie mi wystarczało. Będę blisko niego, w miejscu, które śniło mi się po nocach, które stało się dla mnie ziemią obiecaną. Dla Ruathy nastaną znowu szczęśliwe dni, a mnie przypadnie w udziale współtworzenie tego szczęścia.

Fergal zjawił się po chwili. Nie dopuściłby, abym zagarnęła jego dziadka dla siebie.

Noc była widna, powietrze rześkie, czuło się w nim zapach wiosny. Wymieniliśmy pozdrowienia z ludźmi siedzącymi przy ogniskach i przed chatami. Niosłam koszyk, żeby oświetlać drogę, chociaż wszyscy troje zdążyliśmy już poznać każdą płytę, kamyk czy dołek na trasie do stajni. Fergal biegł pierwszy.

- Jeśli nie ożrebi się do północy, to pewnie do rana będzie spokój - oświadczył Dag. - Musimy mieć źrebaka.

- Który ogier jest ojcem źrebaka?

- Jeden z ogierów starego lorda Leefa, źrebak pozwoliłby na odnowienie tej linii. Zostajesz z nami, Rill, prawda? - Dag zazwyczaj nie owijał w bawełnę.

Kiwnęłam głową niezdolna wydać z siebie głosu. Moje szczęście było zbyt cenne, aby je rozmieniać na słowa. Dag energicznie potrząsnął kudłatą głową.

- Potrzebujemy takich jak ty. Czy jest tu ktoś jeszcze z twoich stron? - rzucił mi ukośne spojrzenie.

- Nie, o ile mi wiadomo - odparłam uprzejmie. Miałam nadzieję, że powstrzymam go od

dalszych dociekań. Ostatnio nie starczało czasu na osobiste rozmowy. Widziałam teraz, że muszę przygotować jakąś stosowną wersję własnej przeszłości.

- Nie każda kobieta podoła większości obowiązków w Warowni. Mieszkałaś przed zarazą w jakiejś dużej osadzie?

- Tak, i jest mi ciężko myśleć o tych, których straciłam - liczyłam na to, że wymijająca odpowiedź mu wystarczy.

Wrodzona uczciwość nie pozwalała mi kłamać. Westchnęłam.

Pewnego dnia prawda z pewnością wyjdzie na jaw, ale do tego czasu spodziewałam się na tyle zadomowić w Ruathcie, że pochodzenie i ucieczka zostaną mi wybaczone.

Na szczęście dotarliśmy do stajni. Pol i Sal siedzieli w pobliżu klaczy. Szorowali skórzaną uprząż wyciągniętą ze stosu rupieci pozostałych po jarmarku i nadających się jeszcze do wykorzystania. Pol wręczył Fergalowi pokryty pleśnią napierśnik. Chłopiec spojrzał najpierw na Daga, który skinął głową. Potem Fergal skrzywił się, ale usiadł i chwycił ścierkę. Znaleźliśmy sobie z Dagem miejsca do siedzenia i też zabraliśmy się do mycia brudnych rzeczy.

- Drugi syn Bestruma rozgląda się za kawałkiem ziemi uprawnej - przerwał Pol milczenie.

- Naprawdę? - zapytał Dag.

- Silny, robotny chłopak. Myśli o dziewczynie z sąsiedniej Warowni.

- Sądysz, że Bestrum zgodzi się po tym, jak część rodziny umarła tutaj?

- Lubi Alessana. Chłopcu będzie się tutaj lepiej wiodło i Bestrum o tym wie. Porządny człowiek ten Bestrum.

- Tak, i dobrze zrobił przysyłając ciebie i Sala. - Dag kiwał głową aprobowująco. Potem, mrużąc oczy w zamyśleniu, spojrzał w górę na Pola. - Jak długo może się obywać bez was? Tyle mam klaczy, które będą się żrebić, a z tą złamaną nogą....

- Powiedziałeś, że ja ci będę pomagać, Dag - poskarżył się Fergal wlepiając zagniewane oczy w Pola, który nie zwrócił na niego uwagi.

- Owszem, chłopcze, ale we dwóch nie podołamy robocie.

- W górach wiosna przychodzi z opóźnieniem - powiedział Pol.

- Jeszcze trochę możemy tu posiedzieć - dodał Sal.

- Czy mam poprosić o to lorda Bestruma, kiedy zawiadomię lady Ganę o losie jej dzieci?

- To byłoby ładnie z twojej strony.

Tuero ustalił, że córka lady Gany zmarła jako jedna z pierwszych ofiar zarazy. Pielęgnował ją stary sługa, który podzielił jej los. Oboje pochowano w pierwszym grobowcu. Syn Bestruma ciężko pracował pomagając Normanowi, nadzorcy terenów wyścigowych; obaj także

zachorowali i zmarli. Leżeli pod drugim kopcem.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza. - Klacz jest bardzo niespokojna - odezwał się Sal.

Fergal podskoczył wyciągając szyję i wspinając się na palce, aby lepiej zobaczyć.

- Rodzi - stwierdził z tak niezachwianą pewnością siebie, że z trudem stłumił chichot.

- Żaden z mężczyzn nie okazał lekceważenia. Wszyscy pozostali na swoich miejscach. Usłyszeliśmy, jak klacz osuwa się na słomiane legowisko. Jakże mądre są zwierzęta. Potrafią radzić sobie w takiej sytuacji lepiej niż ludzie. Kobyła wydała tylko kilka parsknięć. Nie jęczała i nie biadoliła, nie łkała i nie narzekała na los ani też nie przeklinała ogiera, który ją przywiódł do tego stanu.

- Kopyta - oznajmił cichym głosem Fergal. - Idzie głowa. Normalna pozycja.

Nie mogłam się powstrzymać, aby nie spojrzeć na Daga. Mrugnął do mnie pogryzając słomkę.

- Ach! - zawołał Fergal. - Przyj jeszcze trochę, moja piękna, jeszcze trochę wysiłku... Oto jest. Słyszeliśmy, jak klacz sapie z wysiłku, jak szeleści słoma w legowisku. Gdy nagle te odgłosy zamarły, nie wytrzymaliśmy. Podbiegliśmy do boks zerkając ponad deskami. Klacz lizała łożysko leżące przy żrebaczk. Wilgotne małe ciało zwierzątko poruszało się gwałtownie. Nieproporcjonalnie długie nogi kopały powietrze z niewiarygodną jak na nowo narodzoną istotę siłą.

- Hej, zasłaniacie mi! - wrzasnął Fergal. Wepchnął się obok Daga i podciągnął na deskach przegrody. - Co to jest? Co to jest?

Nie mogliśmy ustalić płci żrebaka - jego nogi krzyżowały się na brzuchu. Parskał nieszczęśliwy z powodu własnej bezradności. Klacz trąciła go w zadek tam, gdzie wyrastały małe kosmyk ogonka. Pomachał nogami podejmując kolejny wysiłek, aby wstać. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zapiszczał ciekawym, gniewnym głosem. Jego kopytka rozrzucały słomę. Żrebię nadal walczyło, aby się podnieść. Gdy machnęło zniecierpliwione ogonkiem, zobaczyliśmy, jakiej jest płci. Nie była to klacz.

- Ogier! - krzyknął Fergal poświęcając temu szczegółowi budowy ciała więcej uwagi niżeli pozostali, którzy z zachwytem obserwowali samodzielne poczynania żrebięcia. Chłopiec otworzył drzwi boks i wszedł do środka. - Jaka jesteś cudowna! Wspaniała klacz! Jakiego masz pięknego syna!

Fergal pogładził nos klaczy i jej uszy przemawiając ciepłym, pełnym aprobaty głosem. A potem zaczął wabić żrebaczk, głaszcząc delikatnie jego szyję, aby przyzwyczyił się do dotyku ludzkiej ręki. Noworodek zbyt był pochłonięty doprowadzaniem swoich nóg do porządku, aby zwracać uwagę na otoczenie.

- Ma do tego dryg, o tak - stwierdził Poi.

Sam odbierał trzy porody na górskich pastwiskach po tym, jak złamałem nogę.

- Zawiadomię Alessana - odezwałam się.

- Im więcej dobrych nowin usłyszysz, tym lepiej - rzekł Dag. Zastanawiałam się nad tym wracając różnym krokiem do głównego budynku. Brzmiało to zbyt zagadkowo jak na nie kryjącego swoich myśli stajennego. Gdy dotarłam na miejsce, było po północy. Oklina i Desdra już spały. Tuero wsparł łokcie na stole i mówił coś do Alessana.

- Tak jest w porządku - mówił Tuero tonem pojednawczym. - Jeśli harfiarz nie jest w stanie dojść do tego, a zwykle doskonale sobie radzi, więc jeśli nie potrafi sam do tego dojść, to nie ma prawa wiedzieć. Alessanie, zgadzasz się ze mną?

W odpowiedzi rozległo się przeciągłe chrapanie. Tuero popatrzył na pana Warowni na poły z litością, na poły z wyrzutem, potem trącił bukłak leżący obok na stole i sapnął zniechęcony.

- Wypił wszystko? - zapytałam rozbawiona wyrazem pociągłej twarzy Tuero.

Zmarszczył długi, przekrzywiony w lewo nos.

- Tak, a tylko on wie, gdzie znajdują się zapasy. Uśmiechnęłam się na wspomnienie mojej wyprawy z Oklina po wino do piwnicy.

- Żrebak jest ogierem, zdrowym i silnym. Myślałam, że lordowi Alessanowi przyjemnie będzie to usłyszeć. Dag i Fergal zostali, aby się upewnić, że stanie na nogach i zacznie ssać. - Popatrzyłam na śpiącego Alessana. Wydawał się młodszy i spokojny. Czy pod opuszczonymi powiekami w jego bladozielonych oczach kryło się nadal tyle smutku?

- Znam cię - rzekł Tuero.

Nie należę do osób, które obracają się w kręgu czeladników harfiarskich - odparłam. - Wstań, harfiarzu. Nie pozwolę, by Alessan spał w takich warunkach. Potrzebuje porządnego wypoczynku.

- Nie jestem pewien, czy utrzymam się na nogach.

- Spróbuj.

Jestem wysoka, ale nie tak bardzo jak Tuero albo Alessan. Nie zdołałabym samodzielnie przenieść śpiącego. Ujęłam go pod jedno ramię i ponagliłam Tuero, któremu udało się właśnie przyjąć pozycję stojącą, aby podtrzymał go z drugiej strony. Alessan ważył sporo, a Tuero nie był zbyt zręcznym pomocnikiem. Wciągał się po schodach, rozpaczliwie chwytając poręczy. Modliłam się, aby nie okazała się słabo przytwierdzona do kamiennej ściany. Pokoje Alessana znajdowały się na szczęście u szczytu schodów. Nie zapuszczałam się jak dotąd poza wspólną bawialnię, gdzie nadal stały prowizoryczne łóżka. Jutro czy pojutrze może zaczniemy przewietrzać wnętrze Warowni.

Szarpnęłam ciężkie futrzane nakrycie na łóżku Alessana. Spadło do moich stóp unieruchamiając mnie na krótko, podczas gdy usiłowaliśmy zsunąć bezwładne ciało pana Warowni z ramion. Opadł na posłanie z nogami dyndającymi ponad brzegiem łóżka. Tuero zatoczył się na słupek w rogu łoża. Mamrotał przepraszająco, gdyż zasłona zerwała się w jednym miejscu. Ściągnęłam Alessanowi buty, rozluźniłam pas, ugięłam jego nogi i, kładąc mu jedną rękę na biodrze, pchnęłam go z całej siły. Teraz całe jego długie ciało spoczęło na łóżku.

- Chciałbym... - zaczął Tuero, gdy ja opatulałam Alessana futrem, podwijając je starannie pod jego ramiona, by nie zmarzł, nawet jeśli będzie się wiercił. Uśmiechnął się lekko przez sen. - Chciałbym...

Tuero spojrział na mnie przybierając nagle nieprzenikniony wyraz twarzy, zmarszczył brwi i opuścił głowę na piersi.

- Rozkładane łóżko jest nadal w pokoju obok, harfiarzu. Wątpiłam, abym zdołała odprowadzić pijanego Tuero do jego pokoju w odległym końcu korytarza.

- Czy mnie też przykryjesz?

W głosie Tuero zabrzmiała taka żałość, że uśmiechnęłam się mimo woli. Słaniając się na nogach, dowlókl się za mną do sąsiedniego pokoju. Podniosłam koc i potrząsnęłam nim. Z westchnieniem wdzięczności ułożył się na boku.

- Dobra jesteś dla pijanego harfiarskiego głupka - mruknął, gdy go przykrywałam. - Pewnego dnia przypom... - był nieprzytomny. Pewnego dnia może przypomni sobie, że właśnie on ukuł określenie „tabun z Fortu”, jak nazywano mnie i moje rodzeństwo. Podejrzewam, że w tej chwili skończyłaby się nasza przyjaźń, ale to już jego problem.

Mój kłopot polegał na tym, że musiałam dostać się teraz do własnego łóżka i wcale nie pragnęłam, aby ktoś troskliwy opatulał mnie kocem.

Rozdział IX

3.23.43

Poranek tego niezwykłego dnia nastał świetlisty i jasny, z zapachem wiosny unoszącym się w powietrzu. Pomimo szaleństwa poprzedniej nocy, a może właśnie dlatego, wstaliśmy wypoczęci i zjedliśmy wczesne śniadanie. Wszyscy siedzieli uśmiechnięci, nawet Desdra, zazwyczaj pełna powagi. Omówiono szczegóły dziennych zajęć. Alessan po inspekcji w stajniach z zadowoleniem opowiadał o tym, jak silny i rozbrykany jest mały źrebaczek. Oklina i ja, wzięwszy wychowanków i paru silniejszych rekonwalescentów do pomocy,

zaczęliśmy przewozić szklane naczynia do opuszczonej stajni, by sala główna mogła z powrotem pełnić swoje właściwe funkcje.

Deefer wybrał się z kilkoma ludźmi na wzgórze w poszukiwaniu tłustych wherrów. Stanowiłyby przyjemną odmianę po mięsie zwierząt tucznych. Jego zapas już się zresztą wyczerpał.

Cały czas zastanawiałam się, co powiedzieć Alessanowi wieczorem. Sądziłam, że przez tydzień ciężkiej pracy da się usunąć wszechobecny bałagan przypominający niedawne okrutne doświadczenia. Nie mogliśmy, oczywiście, usunąć nagrobnych kopców. Wiosna nakryje je przynajmniej trawą. Z czasem, ale nie za prędko, kopce się zapadną i nie będą tak bardzo rzucać się w oczy.

- Smoki! - krzyknął ktoś z zewnętrznego dziedzińca. Rzuciliśmy się, aby obejrzeć widowisko. Jako pierwszy wylądował B'lerion na grzbiecie Nabetha. Drobną twarzyczką Okliny rozjaśniła się radością. Bessera, jedna z amazoнок z Dalekich Rubieży, wylądowała jako druga. Rozległy dziedziniec wydał się nagle mały, gdy usiadły na nim ogromne latające wierzchowce. Wyglądały na bardzo z siebie zadowolone. Ich skóra lśniła w jasnych promieniach słońca. Na drodze osiadło jeszcze sześć smoków, wszystkie spiżowe.

Gdy Oklina z naręczem butelek ruszyła biegiem ku B'lerionowi, zauważyłam, że oczy jeźdźca rozblęły. Dziewczyna zatrzymała się gwałtownie i spojrzała w twarz mężczyzny rozkochanym wzrokiem. Ten, śmiejąc się trochę za głośno, odebrał od niej butelki z serum.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Desdra stała obok z butelkami, które miałam wręczyć jeźdźcowi.

- Nie patrz tak, Rill. Mają zgodę.

- Nie patrzyłam na nich, no, nie całkiem. Ale ona jest strasznie młoda, a B'lerion to nie byle kto.

- W Weyrze Fort dojrzeła jajo królowej.

- Ale Oklina jest potrzebna tutaj.

Desdra wzruszyła ramionami, przekazała serum w moje ręce i pchnęła mnie lekko. Pobiegałam, ale nie mogłam się uspokoić. Oklina była prawie dzieckiem, a B'lerion miał tyle uroku... I Alessan uznał ten związek? Jakie to dziwne, skoro jej dzieci także zapewniłyby ciągłość rodu, gdyby została w Warowni. Och, wiedziałam doskonale, że kobiety z Ruathy często jeździły na królowych, a kobiety z Weyru rodziły dzieci jak wszystkie inne, choć może nie tak często. Ja jednak nie wyobrażałam sobie takiego życia. Więzy między jeźdźcą a smokiem była zbyt głęboka. U kogoś takiego jak ja nie zostawiłaby miejsca na inne uczucia. Oklinie zazdrościłam szczęścia, tego zachwytu, z jakim spoglądała na B'leriona. Lśniące oczy

Nabetha wpatrywały się w parę ludzi, tak jakby wiedziały, co się między nimi dzieje. Smoki mają takie zdolności. Nie byłam pewna, czy zniosłabym, jeśli ktoś przez cały czas odgadywałby moje myśli. Przypuszczam jednak, że jeźdźcy przyzwyczajali się do tego.

Ledwie zdążyliśmy złapać oddech po odlocie smoków, gdy zjawiły się królowe z Weyru Fort. Leri, której nie spodziewałam się zobaczyć, posadziła starą Holth na dziedzińcu, podczas gdy Kamiana, Lidora i Haura opadły na drogę. A potem przybyli jeszcze S'peren i K'lon. Leri była w świetnej formie. Żartowała z Alessanem i Desdrą, ale zauważyłam, że nie spuszcza oczu z Okliny, podobnie jak Holth. Czyżby zmiany w życiu Okliny zaszły dopiero niedawno? Przypomniałam sobie, jak ja sama zjawiłam się w Ruathcie. Było to zaledwie trzy dni temu, ale wydawało się, jakby minęły trzy miesiące, tak wiele zdążyło się wydarzyć. Alessan robił wówczas wrażenie szczęśliwego, Moreta również, a Oklina po prostu promieniała. Czyżby Leri chciała się dowiedzieć, czy zaszła jakaś zmiana?

Do Weyru należało wyszukiwanie odpowiednich kandydatów w Warowniach, zwłaszcza kiedy dojrzewało jajo królowej. Oklina była młoda i delikatna. Zganiłam się za krytykę, na jaką pozwoliłam sobie wobec Lorda Warowni. Jakież miałam prawo wtrącać się do ich spraw? Byłam tylko przyjacielem. Nadzwyczaj łatwo wynajdywałam ciemne strony każdej sytuacji.

Około południa udało nam się znaleźć czas na miskę zupy i kawałek chleba. Większość butelek serum zabrano. Staralam się odgadnąć, jak zorganizowano zaopatrzenie. Lądowanie smoka trwało jakieś pięć minut. Pracując w możliwie szybkim tempie, przez następne pięć minut podawaliśmy jeźdźcowi butelki, a potem przez trzy, może cztery minuty smok unosił się w powietrze. Chociaż lot w przestrzeni pomiędzy do którejkolwiek Warowni trwał kilka sekund, każda wyprawa zaopatrzeniowa zabierała około pół godziny. Przy takiej liczbie siedzib na Zachodzie i w Południowym Boli, Cromie, Nabolu, Forcie, Ruathcie, Iście i zachodniej części Telgaru, wszystkie smoki Weyrów powinny ruszyć do akcji. A było tylko osiem z Dalekich Rubieży, siedem z Fortu i sześć z Isty.

- Nie staraj się zrozumieć, Rill - poradziła mi Desdra rozbawionym tonem. - To da się zrobić, jeśli wziąć pod uwagę niezwykle zdolności smoków.

Ta uwaga mieszała mnie jeszcze bardziej, ale właśnie wróciła drużyna smoków z Isty i Fortu po ostatni ładunek. Smoki wydawały się zmęczone. I nic dziwnego. Lot w przestrzeni pomiędzy podobnie jak lądowanie i wznoszenie się w powietrze pochłania mnóstwo energii. Leri wyglądała na wyczerpaną. Była wówczas najstarszą spośród amazoнок Fortu. To, że podjęła się tak trudnego zadania, świadczyło o jej oddaniu dla Weyrów.

Nagle wszystkie królowe ryknęły gniewnie. Jedyne obecny błękitny smok przypadł do ziemi.

Leri była wyraźnie wściekła, podobnie jak pozostałe amazonki. Wydawały się naradzać nad czymś intensywnie, choć bez słów. Leri skinęła w moją stronę - jako że stałam najbliżej - i wręczyła mi butelki.

- Zanieś to S'perenowi, dziecko. On to dostarczy. Wkrótce przysypał mnie kurz wzbity przez pospiesznie odlatującą Holth. Sądzę, że wzbija się w przestrzeń pomiędzy, ledwie minęła zewnętrzny mur Warowni. Zadrzałam od powiewu zimnego powietrza. Wszyscy mieli ponure miny, choć wypełnienie tak trudnego i niezwykłego zadania powinno im sprawić pewną satysfakcję. Wolnym krokiem ruszyłam w stronę Warowni.

- To można zanieść z powrotem do piwnicy. - Alessan wskazał pozostałe skrzynie serum przygotowanego w większej ilości na wypadek, gdyby butle stłukły się w transporcie. - Przekażemy je do stajni w Keroon, kiedy się trochę uspokoi. Ktokolwiek zostanie nadzorcą stajni, będzie z nich zadowolony. To pewne, że w Keroon i Telgarze znajdzie się więcej opuszczonych biegoni. Jest tam teraz wiele zrujnowanych siedzib.

W tej chwili powrócił Deefer ze swoją drużyną. Śmiali się od ucha do ucha; dźwigali na plecach przynajmniej po jednym tłustym wherze.

- Dzisiaj ucztujemy. Oklino, Rill, co możemy wziąć ze spiżarni do pieczeni z whera? Należy nam się prawdziwa biesiada. Dobry posiłek, nie jakaś tam zupa. A do tego jeszcze wino.

Zewsząd rozległy się wiwaty i radosne okrzyki. Wszyscy zgłaszali się na ochotnika, żeby pomagać kucharzom. Z największym entuzjazmem usunięto z sali niepotrzebne sprzęty i ustawiono z powrotem solidne stoły. Po jarmarku uprzątnięto je tak pospiesznie, że na niektórych pozostały jeszcze poplamione winem i jedzeniem obrusy. Razem z Okliną zwinęłyśmy je szybko i rzuciłyśmy na stos brudnej bielizny.

- Przykro mi będzie odjeżdżać - odezwała się do mnie Desdra, przerywając na chwilę pakowanie swoich rzeczy i zapisków dotyczących fabrykacji serum. - Mimo to wszystko - wskazała na bałagan panujący wokół - Ruatha szybko wraca do siebie.

- Musisz wrócić wkrótce z mistrzem Capiamem - powiedziała Oklina. Jej oczy błyszczały wciąż tak samo od wizyty B'leriona. - Zobaczysz, jak Ruatha się zmieni. Prawda, Rill?

- Daj mi tylko trochę czasu, a zobaczysz, jakie cuda zdziałamy! - zawołałam z takim zapałem, że Desdra parsknęła śmiechem.

Potem puściła do mnie oko, ale tak żeby Okliną tego me zauważyła.

- Miałaś rację przyjeżdżając tutaj, Rill. W starej Warowni nikt cię nie doceniał. Chciałabym też przeprosić cię za to, że źle zrozumiałam twoje motywy, kiedy proponowałaś nam pomoc. Byłabyś nieocenionym pomocnikiem.

- Nie, nie pozwolono by mi na to - powiedziała zadowolona, że Oklina odeszła dalej. - Tutaj

jestem sobą i ceni się mnie za moje zasługi. Mogę się tutaj przydać, zwłaszcza jeśli Oklina...

- przerwałam niepewna, co właściwie miałam na myśli.

Desdra uniosła brew. Pospieszyłam z wyjaśnieniami, na wypadek gdyby posądzała mnie o wygórowane ambicje.

- Och, to nie tak, Desdro. Mimo obecnego stanu Ruatha należy do najwspanialszych Warowni. Alessan nie stracił w niczyich oczach, z taką godnością radząc sobie w nieszczęściu. Każdy Lord Warowni mający córki na wydaniu będzie usilnie zabiegał o jego względy.

- Masz dostatecznie wysoką rangę, lady Nerilko.

- Cicho! Miałam rangę - z naciskiem użyłam czasu przeszłego. - I mało radości w związku z tym. Dużo bardziej cieszy mnie, że mogę współtworzyć przyszłość Ruathy, bo w Forcie nie miałam żadnej.

- Czy mam komuś przekazać wieść od ciebie? Będę bardzo dyskretna.

- Jeśli możesz, powiedz stryjowi Munchaunowi, że spotkałaś mnie w czasie podróży i jestem szczęśliwa. Stryj uspokoi moje siostry.

- Wiesz, Campen też się o ciebie martwił. Razem z Theskinem szukali przez cały dzień myśląc, że spotkało cię coś złego, gdy zbierałaś zioła.

Kiwnęłam głową dopowiadając sobie to, czego Desdra wyraźnie nie powiedziała.

Pamiętam, jak zastanawialiśmy się, czy zdołamy kiedykolwiek usunąć z głównej sali zapach krasnoziela, kiedy nagle Oklina, która ustawiała wyczyszczone do połysku miedziane ozdoby na kominku, krzyknęła i o mało nie upadła. Podtrzymała ją Desdra. Alessan z twarzą poszarzałą na popiół wypadł z małego biura, które do niedawna służyło za gabinet lekarski Follenowi.

- MORETAAA! - pełen udręki krzyk Alessana był krzykiem człowieka po raz kolejny ciężko doświadczonego przez los. Opadł na kolana. Jego ciałem wstrząsało łkanie, a pięści tłukły w kamienie posadzki. Nie zważał na wysiłki Follena próbującego powstrzymać go od zrobienia sobie krzywdy. Nie byłam w stanie znieść tego szloch. Podbiegłam, uklękłam tak, aby jego pokrwawione pięści trafiały w moje nogi, a nie w zimne kamienie. Uderzał z taką siłą, że zagryzłam wargi, by nie krzyczeć. Potem, drżąc z rozpacz, schował twarz w moich ramionach.

- Moreta! Co złego mogło ją spotkać w Weyrze Fort? Jej królowa przebywała teraz na polu wylęgowym, z całą pewnością najbezpieczniejszym miejscu w całym Weyrze.

Alessan otoczył ramionami moje biodra. Zmagał się ze straszliwym nieszczęściem. Przytuliłam go mocno, mrużąc jakieś nonsensy, usiłując zrozumieć, co się stało.

Follen i Tuero stali obok nas, ale ich słowa tonęły w przeraźliwym, przerywanym łkaniu Alessana i szuraniu jego butów po podłodze. Jego ciało, niezależnie od myśli, usiłowało uciec przed nową tragedią.

- Pozwólmy mu to z siebie wyrzucić - powiedziałam. – Jak dotąd nie pozwalał sobie na łyzy. Co złego mogło spotkać Moretę?

Cokolwiek by to było - odezwała się Desdra - sprawiło, że Oklina straciła przytomność. - Nic z tego nie rozumiem. On nie jest jeźdźcem. Ona też jeszcze nie.

Usłyszeliśmy głośny ryk. Głośniejszy niż zawodzenie stróżującego whera.

- Na Skorupy! - krzyknęła Desdra.

Podniosłam głowę. B'lerion o twarzy pobielącej z rozpaczony i dzikim spojrzeniu wbiegał po schodach Warowni. Szary smok, na którym przyleciał, był to straszliwie odmieniony Nabeth. To jego głos słyszeliśmy przed chwilą.

- Oklina! - krzyczał B'lerion szukając jej pomiędzy nami.

- Zemdlała, B'lerionie. - Desdra wskazała w głąb sali. Ciało Okliny ułożono na stole, a sługa troskliwie uwijał się w pobliżu. - Co się stało z Moretą?

B'lerion zwrócił zapadłe, pełne łez oczy na Alessana, nadal wstrząsanego łkaniem. Ciało jeźdźcy szpizowego smoka jakby zmałało, gdy opuścił głowę na piersi. Tuero podtrzymał go z jednej, Follen z drugiej strony.

- Moreta wleciała w przestrzeń pomiędzy.

Nie zrozumiałam, co miał na myśli. Smoki i jeźdźcy tak często przebywali w przestrzeni pomiędzy.

- Na Holth. Jeźdźcy z Telgaru wycofali się. Znała Keroon. Podjęła się wyprawy. Holth była już zmęczona. Zbyt wiele wzięła na siebie. Obie weszły w przestrzeń pomiędzy i zginęły!

Ścisnęłam Alessana jeszcze mocniej. Jego łyzy mieszały się teraz z moimi. Mój ból był równie wielki, ale litowałam się bardziej nad Alessanem niż nad dzielną panią Weyru. Jakże on zniesie trzecią z kolei tragedię po tym, jak stawiał czoło zarazie i pogrzebał Surianę, którą opłakiwał tak długo. Znowu poczułam gniew na ojca. Jeśli istniała jakaś sprawiedliwość na tym świecie, to czemu na Alessana spadły tak potworne nieszczęścia, podczas gdy Tolocamp cieszył się zdrowiem, bogactwem i cielesnymi rozkoszami, na które nie zasługiwał?

Pojęłam, dlaczego niezwykle oczy Alessana tak lśniły w dniu, w którym tu przybyłam. Nie miałam oczywiście pojęcia, jak to się stało, że Alessan i Moreta stali się kochankami. Nie mieli dla siebie wiele czasu. Uznanie przez Alessana związku między Okliną a B'lerionem było teraz bardziej zrozumiałe. Cieszyłam się, że pani Weyru zaznała trochę radości, bo Sh'gall nie podobał mi się wcale. W przeciwieństwie do Morety nie był sympatyczny.

Nieszczęsna Moreta. Nieszczęsny, jakże nieszczęsny Alessan. Cóż mogło go pocieszyć?

Desdra знаła lekarstwo. Gdy łkanie Alessana przeszło w drżenie, podniosła go wraz z Tuero. Nie mogłam wstać natychmiast, tak bardzo zdrętwiałam. Ale przytuliłam go znowu, gdy Desdra przytknęła delikatnie kubek do jego ust i kazała mu pić.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego oczu - spojrzenia człowieka zagubionego, do głębi zrozpaczonego. Wypił wszystko, jego powieki opadły natychmiast, gdy fellis zaczął działać przynosząc ulgę i jemu, i ludziom, którzy wraz z nim cierpieli.

Ręce przyjaciół przeniosły go do jego kwatery. Usiadłam obok łoża, choć Desdra zapewniła, że dała mu dość fellisu aby spał do rana.

- Co możemy zrobić dla niego, Desdro? - zapytałam, wciąż przejęta jego bólem. Łzy spływały mi po policzkach.

- Droga lady Nerilko, gdybym to wiedziała, byłabym mistrzem uzdrowicielskim. -Potrzęsła głową z wyrazem bezradności, która i mnie obezwładniała. - Będzie to zależało od tego, co nam pozwoli dla siebie zrobić. Jakież okrutny, straszny los go spotkał?

Rozebrałyśmy Alessana i przykryły futrem. Jego twarz nagle się postarzała przybierając woskowy kolor, oczy zapadły się, a usta wygięły w dół. Desdra zbadła mu puls i z ulgą pokiwała głową. Przysiadła na skraju łoża opierając się plecami o kolumnkę i składając dłonie na podolku.

- Kochał Moretę? - odważyłam się zapytać. Desdra przytaknęła.

- Kiedy zbieraliśmy igły cierniowe! Cóż to był za wspaniały dzień! - westchnęła, przywołując cień uśmiechu na surową zwykle twarz. - Cieszę się, że mieli tę odrobinę szczęścia. Dobrze się stało, myślałam wtedy, ze względu na Ruathę.

- Musiał zadbać o ciągłość rodu?

W historii Pernu nie zdarzyło się, żeby pani Weyru została panią Warowni, chociaż wiele kobiet ze świetnych rodów związało się z Weyrami. Moreta zbliżała się do tej granicy wieku, poza którą niebezpiecznie jest rodzić dzieci, ale Alessan i tak chciał się ożenić. Lord Warowni sam stanowił prawa u siebie, zwłaszcza jeśli miały służyć przedłużeniu rodu. Dziewczęta z Warowni wzrastały ze świadomością tej zasady silnie zaszczepionej w ich umysłach i sercach.

- Dzieci Okliny miały się tutaj wychowywać - powiedziała Desdra.

- Ale to nie wystarczy, by zadośćuczynić stratom.

- Musisz mu powiedzieć, kim jesteś, lady Nerilko. Potrzęsłam głową na myśl o tym, co wydawało mi się absolutnie niemożliwe. Potrzebował pięknej, pociągającej kobiety, mądrej i czarującej, która pomogłaby mu otrząsnąć się z rozpacz.

Desdra wyszła szepcząc, że przyniesie jedzenie, kiedy będzie gotowe. Zbyt wiele wysiłku musiałabym włożyć w powiadomienie jej, że prawdopodobnie nie będę w stanie przełknąć ani kęsa.

Rozdział X

3.24.43 - 4.23.43

Nie jestem pewna, co się z nami działo przez następne kilka dni. B'lerion nie opuszczał Okliny. Uznałam, że najwidoczniej pisane jej było przenieść się do Weyru. Słyszała krzyk smoków, rzecz niezwykłą dla kogoś, kto nie był w ich gnieździe. Alessan, ku zdumieniu wszystkich, dowiedział się o śmierci Morety jakimś niezwykłym sposobem. Tylko Desdra i Oklina nie były tym zaskoczone. Intuicja, wrażliwa na wszystko, co dotyczyło Alessana, pozwoliła mi poskładać do kupy strzępy informacji.

Jeźdźcy i większość ludu Weyrów uświadomiła sobie w jednej chwili śmierć Morety i Holth. B'lerion powiedział nam później o podjęciu środków, które miały nie dopuścić do powtórzenia się podobnej tragedii.

Powszechną praktyką stało się pytanie smoków przez niezdolnych do lotu jeźdźców, czy poniosłyby na grzbiecie innego jeźdźca, aby zapewnić odpowiednią siłę skrzydłu podczas Opadu. Każdy smok miał pewne cechy sobie tylko właściwe, które rozumiał jego jeździec. Ale ogólnie rzecz biorąc, każdy jeździec mógł dosiąść dowolnego smoka. Nie można było winić Leri za to, że zgodnie z tą praktyką pozwoliła Morecie dosiadać Holth w wielu niebezpiecznych sytuacjach. Zmęczone smoki i zmordowani jeźdźcy popełniali jednak błędy. Tamtego późnego popołudnia Moreta i Holth były tak wyczerpane, że tylko rutyna dyktowała im odpowiednie zachowanie podczas lotu. Przypomniałam sobie, jak Holth wleciała w przestrzeń pomiędzy na wysokości machnięcia skrzydłem nad dziedzińcem.

- Tak - mówił B'lerion urywanym szeptem. - Holth straciła sprężystość w tylnych łapach. Podskoczyła i weszła w przestrzeń pomiędzy, zanim Moreta zdążyła jej powiedzieć, dokąd leć. Zagubiły się w przestrzeni pomiędzy.

Później, gdy miał pisać balladę upamiętniającą bohaterską wyprawę Morety, Desdra zdradziła mi, że mieszkańcy Weyrów nalegali, aby w utworze Moreta dosiadała swojej własnej królowej, a nie Holth. Ujawnienie prawdy przyniosłoby niepowetowaną szkodę. Większość Perneńczyków nigdy jej nie poznała. Nie cieszy mnie to, że należę do mniejszości. Nie dlatego, że bohaterstwo Morety traciło coś ze swego blasku w moich oczach, ale ponieważ głupi błąd spowodował tyle cierpienia.

Desdra, ufając mojej dyskrecji, powiedziała mi także, w jaki sposób jeźdźcy zdołali podolać zaopatrzeniu całego Pernu. Główna przyczyna tragedii, skrajne wyczerpanie, wynikała z tego, że smoki w przestrzeni pomiędzy pokonywały nie tylko przestrzeń, ale i czas. Moreta i Holth przeceniły swoje siły. Jedynie rozciągając czas w zdumiewający sposób, albo raczej powielając go w różnych miejscach. Moreta i Holth mogły dostarczyć serum do wszystkich Warowni na równinach Keroon. Owego fatalnego dnia ze wszystkich zdolnych do lotu jeźdźców tylko Moreta orientowała się w rozmieszczeniu rozlicznych, na wpół ukrytych osad w Keroon.

Przeciwko Weyrowi Telgar panie Weyrów przygotowały akcję dyscyplinarną. Wynikała ona z niezachwianego przekonania, że gdyby M'tani nie był tak nieustępliwy i pozwolił swoim jeźdźcom lecieć, Moreta pozostałaby przy życiu. Nie dowiedziałam się nigdy, na czym owa akcja polegała. Oklina nie wspomniała o niej ani słowem.

Teraz stało się dla mnie jaśniejsze, w jaki sposób Alessan, Moreta, Capiam, Oklina i B'lerion spędzili czas poprzedzający moje pojawienie się w Ruathcie. Wydawało mi się wcześniej, że igieł cierniowych jest wszędzie w bród, nie przypuszczałam nawet, że ci dzielni ludzie spędzili cały dzień w Iście zbierając ciernie.

Zrozumiałam wiele, ale to nie wystarczyło, by pomóc Alessanowi. Zastanawiałam się, skąd weźmie siły, aby pozbierać się po ostatniej tragedii.

Przytomność, wraz ze świadomością nieszczęścia, wróciła mi dwadzieścia cztery godziny później. Drzemałam, obudziło mnie lekkie skrzywienie łóżka. Odwróciłam wzrok od jego zrozpaczonych, niemal szalonych oczu.

- Desdra podała mi środek odurzający? - zapytał. Skinęłam spuszczać wzrok. - To nie pomoże, nie pomoże. Czy ktoś wie, jak doszło do nieszczęścia?

Powiedziałam mu wszystko. Udało mi się zachować spokój. Jego rozpacz była nie do ukojenia. Patrzył na mnie. W jego woskowo bladej twarzy oczy płonęły jak węgle.

- Leri i Orlith mogły lecieć razem! - zawołał z żalem i gniewem.

Chodziło o jaja. Orlith musiała czekać, aż wyklują się pisklęta. A Leri czuwała wraz z nią.

- Dzielna Leri! Rycerska Orlith! - wzdrygnęłam się słysząc sarkazm w jego głosie. Ciało miał sztywne i wyprostowane, pięści zaciśnięte. Postawa ta wyrażała głęboką rozpacz i wewnętrzną walkę. - Smokom i jeźdźcom dane jest więcej przeżywać aniżeli nam! Gdyby też ojciec pozwolił mi wtedy prosić o jej rękę! Kiedy pomyślę, jak inaczej potoczyłoby się moje życie... - Odwrócił się w stronę okna. Na widok kopców nagrobnych ponownie zwrócił się ku mnie. Jego zamknięte oczy były podkrążone. Twarz umęczona i napięta. - A więc strzegłaś mnie we śnie, wierna Rill. Kiedykolwiek ocknę się ze snu, zawsze będzie jakiś strażnik

pilnujący, abym przeżył życie, którego nie chcę.

Przemówił wtedy przede mnie mój własny żal. Mówiłam nie jako rozsądna, cierpliwa, obowiązkowa, zwyczajna panna z „tabunu z Fortu”, ale jako przyjaciółka Suriany, nowa mieszkanka Warowni Alessana, ktoś, komu był on bliższy, niż dozwalał rozsądek. Każdy smutek można znieść. Czas uleczy najgłębsze rany - ale trzeba ten czas wygrać.

- Może nie pragniesz żyć, Lordzie Warowni Ruatha, ale me masz prawa umrzeć!

- Ruatha nie jest dla mnie wystarczającym powodem, aby żyć! - odparł gorzkim, gniewnym tonem. - To miejsce próbowało mnie już raz zabić.

- A ty walczyłeś, aby je uratować. Nikt inny nie dokonałby tyle co ty i nie wywiązałby się z zadania z taką godnością i honorem.

- Honor i godność nic nie znaczą w grobie! - wznosił ramiona ku oknu i rozciągającemu się nie opodal cmentarzysku.

- Oddychasz jeszcze i jesteś w Ruathcie - mówiłam szorstko, zastanawiając się, czy moje słowa odwiodą go od zamiaru, który powziął w głębi duszy. Obowiązek, honor, tradycja nie stanowiły przeciwwagi dla pięknej kobiety i utraconej miłości. - Jako mieszkanka twojej Warowni, lordzie Alessanie, żądam, abys pozostawił po sobie dziedzica twojej krwi.

Zdumiała mnie własna gwałtowność. Alessan zmarszczył brwi.

- Chyba że pragniesz, aby ród z Tillek, Fortu albo Croma władał Ruathą gdy odejdziesz. Sama wówczas przyrządzę napój z fellis, abys mógł odejść na zawsze!

- Dobijemy targu. - Ze żwawością, jakiej nie spodziewałam się po człowieku złamanym bólem, zerwał się z łóżka wyciągając do mnie rękę. - Kiedy będziesz nosić dziecko w swoim łonie, Nerilko, wypiję ten kielich.

Spojrzałam zaskoczona i zdumiona, że źle mnie zrozumiał i moje słowa uznał za ofertę. Nagle uświadomiłam sobie, że zna moje imię.

- Twoi rodzice zawsze sprzyjali takiemu związkowi... - dodał drwiąco.

- Nie ze mną, Alessanie. Nie to miałam na myśli.

- Dlaczego nie z tobą, Nerilko? Wykazałaś się wszelkimi zaletami jako pani Warowni. Skądże inaczej wzięłabyś się w Ruathcie? Czy może pragnęłaś się zemścić na mnie za śmierć bliskich?

- Och, nie! Nie! Nie mogłam dłużej wytrzymać w Forcie. Tolocamp przekroczył wszelkie dopuszczalne granice. Jak mogłabym tam zostać, skoro odmówił uzdrawiaczom lekarstw i pomocy? Dostałam się tutaj szczęśliwym trafem. U Bestruma zjawił się akurat M'barak prosząc o pomoc. Skąd wiesz, kim jestem?

- Suriana. Wychowywałaś się z nią, Rill - mówił jakby z irytacją. - Wiesz, jak lubiła rysować.

Często rysowała twoją twarz. Jakże mógłbym cię nie poznać? Nie znałem tylko powodu twojego przybycia i dlatego pozwoliłem ci zachować incognito. - Pstryknął niecierpliwie palcami. - Słuchaj, dziewczyno, to uczciwy układ. Zostaniesz niekwestionowaną panią Ruathy bez męża na karku. Suriana na pewno ci mówiła, że byłem dla niej dobry.

- Mówiła mi o tym, choć powściągliwie. Kochała go nie tylko za łagodność i dobroć. Myśl o jej śmierci i żalobie Alessana po stracie Morety wywołały łzy w moich oczach.

- Jesteś miły i dobry, i dzielny, i nie zasługujesz na zły los, jaki ci przypadł w udziale.

- Nie jestem w stanie uciec od nieszczęścia, Nerilko - powiedział ostrym tonem. - Oszczędź mi litości. Na nic mi ona. Daj mi za to dziecko z mojej krwi i kielich fellis.

- Dziwię się, jak mogłam w ogóle przystać na ów dziwaczny układ, ale wówczas z pewnością myślałam, że Alessan, gdy cierpienie zelżeje, zawaha się przed wypiciem trucizny, nawet jeślibym miała odwagę ją przyrzadzić. Wtedy byłam gotowa zgodzić się na wszystko.

- Zaczniemy od razu - pociągnął mnie w stronę łóżka, ale się wyrwałam. Przestraszył mnie nie tylko ten pośpiech.

- Nie, nie pójdę w ślady Anelli.

Alessan popatrzył na mnie gniewnie, nie rozumiejąc moich słów.

- Tolocamp poszedł z Anellą do łóżka w godzinę po tym, jak dowiedział się o śmierci mojej matki - wyjaśniłam krótko.

- To nie jest taka sama sytuacja, Nerilko - jego twarz wykrzywiła się w strasznym grymasie, oczy płonęły.

- Kochałeś Moretę.

Policzki mu zadrżały. Spojrzał na mnie zimno, prawie z nienawiścią, aż cofnęłam się odruchowo.

- Czy to cię powstrzymuje, lady Nerilko? Wolałbym, aby to była panińska skromność. Nigdy nie spotkałem mieszkańca Warowni Fort, który by dotrzymał słowa.

Ciągnął mnie w swoją stronę. Szukałam słów, aby wytłumaczyć, dlaczego się opieram. Głównym powodem było to, że chwila zupełnie nie sprzyjała sytuacji, która powinna dawać ludziom radość.

Człowiek, który doświadczył śmierci bliskich, potrzebuje miłości, żeby przypomnieć sobie, że żyje, Nerilko - mówił żarliwie. Nieomal skapitulowałam, gdy rozległo się skrzypnięcie zewnętrznych drzwi i usłyszeliśmy odgłosy kroków.

- Jesteś wolna, Nerilko, ale nie na długo - rzekł. - Zawarliśmy układ i wypełnimy go; im prędzej, tym lepiej. Tęsknię za tym kielichem.

Wszedł Tuero. Na jego twarzy odbiła się ulga, gdy zobaczył, że Alessan nie śpi i rozmawia ze

mną.

- Czy trzeba ci czegoś, Alessanie?

- Ubrania - odparł Alessan wyciągając rękę. Wyjęłam świeże szaty ze skrzyni, a Tuero podał mi buty. Ubrał się szybko, potem wyszliśmy.

Jego pojawienie się, a jeszcze bardziej zachowanie wprawiło wszystkich w zdumienie. Przywołał Deefera, wysłał wychowanka po Daga, pytał o Oklinę i nie dziwił się obecności Desdry, gdy ta zjawiała się razem z jego siostrą. Odwrócił się gwałtownie, gdy Oklina chciała go ucałować, i ostrym tonem polecił mnie i Tuero udać się do biura. Wydawał dyspozycje głosem cichym, beznamiętnym.

Wszyscy cieszyli się, że odzyskał energię, ale tylko ja zdawałam sobie sprawę, że Alessan przygotowuje Ruathę do swego odejścia. Do późna w nocy konferował z Tuero, wysyłał wiadomości na bębnie, a inne w zapieczętowanych listach przez posłańców na biegoniach. Te pierwsze stanowiły prośbę o przysłanie klaczy zarodowych oraz bezdomnych rodzin o dobrej reputacji. Napominał także dłużników, aby spłacili należne Ruathcie sumy; widziałam odpowiednie rubryki w dziennikach. Tych, którzy mogli maszerować albo utrzymać się w siodle, wysyłał do opuszczonych siedzib, aby sprawdzili, w jakim są stanie, ile bydła zostało na pastwiskach i czy obsiano pola.

Praca nie dawała mi tym razem zadowolenia. Przygnębiała mnie gorączkowa krzątanina Alessana, którą starał się zagłuszyć własne myśli. Przy produkcji serum natrudziliśmy się dużo bardziej, ale wówczas przepelniał nas duch poświęcenia. Teraz brakowało nam zapału, tak jakby beznamiętność Alessana i nas pozbawiła uczuć. Nawet to, że po uprzątnięciu bałaganu, który powstał w czasie zarazy, Ruatha objawiła się odświeżona i odnowiona, niewiele sprawiło nam radości. Oklina, chcąc nas podnieść na duchu, ozdobiła główne pomieszczenia kwitnącymi roślinami. Niektóre zwiędły natychmiast, tak jakby i one nie były w stanie przeżyć w tej atmosferze. Zamartwiałam się nieustannie, że niedobry układ zawarłam z Alessanem, że to ja wywołałam u niego tę napawającą lękiem przemianę. Uwierzył, że pomogę mu w popelnieniu samobójstwa.

Dziesięć dni po śmierci Morety, przy kolacji upływającej w ponurym nastroju, Alessan powstał prosząc o uwagę. Wyciągnął zza pasa cienki rulon.

- Lord Tolocamp wyraża zgodę, abym wziął jego córkę, lady Nerilkę za żonę - oświadczył rzeczowym tonem, bez żadnych wstępów.

Dużo później natknęłam się na ten list leżący na dnie jakiejś szkatuły. Słowa Tolocampa brzmiały następująco: „Weź ją sobie, jeśli tam jest. Nie uważam jej już za swoją córkę”. Alessan nie musiał oszczędzać moich uczuć, ale w ten sposób dowiódł po raz kolejny, że za

pozorami chłodu i braku emocji krył na wskroś dobre serce.

Oświadczenie Alessana wywołało zdumienie, ale nikt na mnie nie spojrział. Desdra wróciła do Cechu Uzdrowicieli pięć dni wcześniej.

- Lady Nerilka? - zapytała Oklina nieśmiało, patrząc na brata szeroko otwartymi oczami.

- Ród Ruathy nie może wygasnąć - ciągnął Alessan bez cienia radości. - Rill zgadza się ze mną.

Spojrzenia obecnych skierowały się na mnie. Patrzyłam prosto przed siebie.

- Przypominam sobie teraz, gdzie cię widziałem - zaczął Tuero. Uśmiechnął się. Był to pierwszy uśmiech, jaki widziałam w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Lady Nerilko. - Powstał i skłonił się przede mną wśród okrzyków zaskoczenia.

Oklina przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, a potem obeszła stół i objęła mnie ramionami. Płakała, choć usiłowała się opanować.

- Och. Rill, czy to naprawdę ty?

- Mam zgodę pana jej Warowni - rzekł Alessan. - Obecny jest harfiarz i świadkowie, toteż możemy niezwłocznie dokonać formalności.

- Chyba nie w ten sposób - zaprotestowała Oklina pstrykając palcami.

Chwycałam jej dłoń i ścisnęłam silnie.

- W ten sposób, Oklino - błagałam ją wzrokiem o spokój. - Zbyt wiele jeszcze musimy zrobić. Szkoda marnować czas i wydawać pieniądze na niepotrzebną paradę.

Pozwoliła się przekonać, ale jej drobna twarzyczka wyrażała niepokój. Wstałam, a Alessan ujął mnie za rękę. Wyciągnął złotą ślubną markę z torby u pasa i wypowiedział formalną prośbę, abym została panią Warowni i jego żoną, matką jego dzieci i pierwszą damą Ruathy. Wzięłam markę - później zobaczyłam, że wygrawerowano na niej datę zawarcia związku - i oznajmiłam, że przyjmuję zaszczyt, jakim jest stanie się panią Warowni i żoną Alessana. „Matką jego dzieci i pierwszą damą Ruathy” z trudem przeszło mi przez usta. Ale taki zawarliśmy układ.

Oklina nalegała, żeby podać wino z Lemos, żebyśmy mogli wznieść toast za pomyślność naszego związku. Harfiarz, który nie przygotował nowej pieśni na tę okazję, wypowiedział bez uśmiechu tradycyjne słowa. Ścisniano mnie serdecznie, parę kobiet miało łzy w oczach, ale wesele było ponure. Zdołałam się jednak uśmiechnąć wspomniawszy, że jestem panną młodą.

Tuero podał nam Kronikę Rodzinną, abyśmy wpisali swoje imiona, mój ród i datę ślubu. Potem Alessan przeprosił obecnych i wyszliśmy.

Był uprzejmy i bardzo rycerski. Serce krwawiło mi na myśl, jak mało uczucia wkładał w to,

co robił.

Niewiele się zmieniło. Nie traktowano mnie z honorami i dla wszystkich pozostałam dawną Rill. Stryj Munchaun przysłał mi moją biżuterię oraz małą, lecz ciężką skrzyneczkę marek. To był mój posag. Stryj powtórzył mi także słowa Tolocampa wypowiedziane na wieść o tym, co się ze mną dzieje: „Warownia Ruatha porywa wszystkie moje kobiety. Jeśli Nerilka woli tamtejszą gościnność od własnego domu, to nie uważam jej już za swoją córkę!”

Stryj przekazał mi to, bo chciał, żebym usłyszała te słowa od niego. Uważał, że postąpiłam jak najlepiej, i życzył mi szczęścia. Żałowałam, że szczęście nie jest równie namacalne jak biżuteria czy marki i że nie mogę go przekazać Alessanowi. Stryj dodał z satysfakcją, że Anellę wiadomość o mnie doprowadziła do wściekłości, ponieważ podejrzewała, że ukrywam się gdzieś nadąsana w Warowni. W końcu poskarżyła się na mnie Tolocampowi, który, doprawdy, aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z tego, że zniknęłam.

Bezdomni biedacy, z rodzinami słoczonymi na wozach, przybywali regularnie. Oklina i ja karmiłyśmy ich i pozwalałyśmy kobietom korzystać z łaźni, starając się wywiedzieć o nich jak najwięcej. Tuero, Dag, Pol, Sal i Deefer gawędzili z mężczyznami przy kubku kłahu i misce zupy. Follen przyglądał im się oceniając stan zdrowia. Zdumiewające, że na końcu zwykle wypowiadał się Fergal i to jego Alessan wysłuchiwał z największą uwagą. Cenił sobie spostrzeżenia dzieci, niekiedy ciekawsze niż opinie dorosłych.

Udało nam się ściągnąć młodszych synów rodów z Keroon, Telgaru, Tillek i z Dalekich Rubieży. Puste pomieszczenia Warowni ponownie się zapełniły. Mistrzowie przysyłali rzemieślników wraz z narzędziami i zaopatrzeniem. Teraz, kiedy wędrowałam wzdłuż linii chat do stajni, szczęśliwe gospodynie witały mnie wesołymi okrzykami, a dzieciaki, przed lekcjami z Tuero, goniły się na placu tanecznym i na łąkach. Stopniowo nastrój przy stole podczas wspólnych posiłków stawał się bardziej swobodny. Tak toczyło się życie, dopóki M'barak, często odbywający podróże służbowe do Ruathy, nie obwieścił, że zbliża się pora wylęgu.

To nam przypomniało o Morecie, Leri i Orlith - i o Oklinie. Z przerażającą jasnością uświadomiłam sobie, że mój układ z Alessanem nadal pozostaje w mocy. Już wkrótce miałam się przekonać, czy jego zamiary są poważne.

Chociaż Alessan nigdy nie wypowiadał się na temat Naznaczenia, wyraził zgodę, aby Oklina znalazła się wśród pretendentów do jaja królowej. Tajemnicą poliszynela było, że B'lerion często przychodził nieoficjalnie do Warowni.

Pytanie Alessana, czy mam suknię stosowną na okazję wylęgu, zaszokowało mnie.

- Nie chcesz chyba tam jechać?

- Nie chcę! Ale pan i pani Ruathy nie mogą opuścić tego wylęgu. Oklina potrzebuje naszego wsparcia! - z jego twarzy wyczytałam naganę, że mogłam choć przez chwilę wahać się w takiej sprawie. Był cały pokryty kurzem. Właśnie wrócił z odległej siedziby, do której sprowadził nowych osadników. - Przejrzyj komody w pokoju mojej matki. Zawsze odkładała próbki tkanin. Jesteś za wysoka, by włożyć coś gotowego. - Spochmurniał nagle i szybko odszedł.

Czuły i delikatny, przychodził do mnie każdej nocy, aż do owego poranka, kiedy okazało się, że jak dotąd nie poczęłam. To odkrycie przyniosło mi niewysłowioną ulgę, która tłumiała cień rozczarowania, że nie noszę w łonie jego dziecka. Alessan musiał jeszcze przeżyć co najmniej miesiąc. Zostanie mi więcej wspomnień. Nie mogłam już dłużej udawać sama przed sobą, że Alessan od czasu ślubu z moją drogą Surianą był dla mnie nietykalnym ideałem, a Ruatha jawiła mi się jako raj, do którego broniono mi wstępu najpierw z powodu śmierci przyjaciółki, a potem - arbitralnej decyzji rodziców w czasie pamiętnego jarmarku. Teraz Alessan stał się bliski memu sercu i duszy. Każde przypadkowe dotknięcie napawało mnie szczęściem. Czasem w nocy czułam, jak nie budząc się szukał dłonią mego ciała, jakby chcąc się upewnić, że jestem blisko. Każde jego życzliwe słowo było mi drogim. Gromadziłam je jak skarby, tak jak inni zbierają marki albo plony.

Przyznaję, że kiedy razem z Okliną i dwiema nowymi mieszkankami Warowni Ruatha, które okazały się zręcznymi krawcowymi szyłyśmy suknię z miękkiej czerwonej materii, poświęcałam się temu zajęciu w radośniejszym nastroju. Oklina w zaciszu swojego pokoju uszyła dla siebie białą tunikę kandydatki. Kiedy pracowałyśmy wspólnie, gawędziła racząc mnie anegdotami z historii Warowni. Mówiła też o tym krótkim okresie, kiedy była tu Suriana. Wiedziała, że wspominając mą przybraną siostrę nie sprawi mi bólu. W gruncie rzeczy byłam szczęśliwa mogąc rozmawiać o ukochanej przyjaciółce. W Forcie nikogo nie obchodził ten okres mojego życia, gdy byłam oddana na wychowanie do innej Warowni. Nikt tam też nie znał Suriany.

Stopniowo odzyskiwałam radość życia. Udział w odradzaniu się Ruathy, niesienie pomocy nowym mieszkańcom sprawiało mi satysfakcję. Bardzo oszczędzaliśmy. Przyczyniałam się do tego wykorzystując umiejętności, jakie przekazała mi matka. W Warowni brakowało rozpaczliwie wielu podstawowych rzeczy, nie tylko zapasów żywności. Cech Uzdrówicielei zwrócił wielkodusznie Ruathcie, jak głosił załączony list, koszty poniesione przy produkcji serum - wydatki na sprzęt i surowce.

Alessan zgrzytał zębami, ale altruizm nie zaspokaja głodu. Nie musieliśmy się z nim wykłócać, by przyjął skromną rekompensatę za to, co uczynił z poczucia honoru i obowiązku.

Dzięki tym markom mogliśmy kupić narzędzia, zamówić pługi, wozy i koła od kowali, a także z innych Cechów. Wszystko wydawaliśmy dzierżawcom po sprawdzeniu ich indywidualnych rozliczeń z nami. Wieczorem spędzałam nad księgami tyle czasu co Alessan. Pracowaliśmy razem udzielając sobie milczącego wsparcia. Ciszę mąciła tylko Oklina, która przynosiła nam skromną kolację. Czasami miałam wrażenie, że mój mąż jest bardziej odprężony. A potem coś sprawiało, że pograżał się z powrotem w smutku.

Rozdział XI

4.23.43

Bębny dały znać, że przybywają po nas jeźdźcy. B'lerion przyleciał po Oklinę i przywiózł wspaniałe futro, aby uchronić ją przed zimnem przestrzeni pomiędzy. Oklina, Alessan i ja w nowych pięknych strojach powitaliśmy go na schodach, gdzie formalnie poprosił o rękę Okliny.

Alessan wyraził zgodę chłodno i w milczeniu, zaledwie skinąwszy głową. Potem umieścił dłoń Okliny w dłoni B'leriona.

W oczach jeźdźca spizowego smoka błysnęły łzy, Oklina rzuciła się bratu z łkaniem na szyję. Alessan uwolnił się z jej ramion nie odwzajemniając uścisku i niemal pchnął ją ku B'lerionowi. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, gdy B'lerion odprowadzał Oklinę. Wiedziałam, jak Alessanowi musi być ciężko, i współczułam mu.

M'barak, z zaczerwienionymi oczami, przybył, aby eskortować nas do Weyru Fort; zadrżałam na myśl o przyczynie jego łez. Alessan dodał mi odwagi.

Wylęgi to zazwyczaj radosne święta, jako że ceremonia Naznaczenia zapoczątkowuje zazwyczaj nowe związki pomiędzy smokami a ludźmi. Dzisiejszemu Naznaczeniu nie towarzyszył nawet cień radości. Pierwsze wrażenia były straszne. Jeźdźcy mieli zaczerwienione oczy, a smoki lekko zaczerwienioną skórę. Goście nie zachowywali się swobodnie, choć nie wszyscy wiedzieli, że Leri i Orlith weszły o świcie w przestrzeń pomiędzy.

W tłumie barwnie i strojnie odzianych przybyszów panowała cisza. Nie rozmawiano, nie żartowano. Miałam nadzieję, że ta ponura atmosfera nie odbije się na smoczych pisklętach ani też nie przyniesie jakichś nieprzewidzianych, szkodliwych następstw. Nie sądzę, abym mogła znieść kolejne rozczarowanie. Po raz kolejny zadziwiła mnie siła charakteru Alessana i jego

upór w dążeniu do celu.

Powtarzałam sobie, że jeśli przeżyjemy ten koszmary dzień, będę z Alessanem jeszcze przez miesiąc. W godzinie kryzysu musiałam pamiętać o tym co dobre, o godności i honorze. Myślałam o tym, że jestem teraz panią Warowni Ruatha, jednej z najstarszych na Pernie, i że nasza siostra kandyduje do jaja królowej. Miałam powody do zadowolenia. Towarzyszyłam Alessanowi dumnie wyprostowana, modląc się z całego serca, aby starczyło mu tego dnia odwagi.

Kątem oka zauważyłam, że był bardzo blady, ale jemu także duma dodawała sił. Gdy wkraczaliśmy na pole wylęgu, kurtuazyjnie ujął mnie za ramię. Ucieszyłam się również dlatego, że ciężko mi było stąpać z godnością, gdy gorący piasek parzył mi stopy poprzez cienkie podeszwy. Alessan poprowadził mnie ku ławom po lewej stronie pola. Kiedy zasiedliśmy, zaczął uważnie przyglądać się jajom, szczególnie złocistemu jajom spoczywającemu osobno na piaskowym kopczyku.

Rozejrzałam się. Mistrz Capiam energicznie wydmuchiwał nos, a świeżo upieczony Mistrz Uzdrowicieli, Desdra, siedziała obok z wyrazem smutku, dumy i niepokoju na twarzy. Desdra wbrew uprzednim zapewnieniom nie zamierzała wracać do Warowni. Została z Capiamem.

Właśnie wchodził mistrz Tirone w otoczeniu harfiarzy różnej rangi i w związku z tym nie przepuściłam przybycia Tolocampa i krzykliwie wystrojonej małej Anelli. Spojrzała po ławach i odciągnęła Tolocampa na bok, chcąc z pewnością znaleźć się dalej od nas. Po nich wkroczył Smoczy Lud. Falga utykała mocno na piasku. Ktoś za nami wskazał Lorda Benden z małżonką oraz innych Lordów Warowni. Wydaje mi się, że to wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że dorównuję im rangą. Ratoshigan wszedł jak zwykle sam. Zjawili się mistrzowie z żonami. Niewielu nosiło oznaki Telgaru, wielu za to - Keroon.

Potem rozległo się mruczenie, które przerodziło się w rodzaj powitalnej pieśni smoków. Sh'gall osobiście wprowadził cztery dziewczęta, potem machnął ręką na chłopców, aby się zbliżyli. Dziewczęta stanęły przed jajem królowej. Pozostałe jaja zaczęły się kołysać i smocza pieśń rozbrzmiała ekstatycznie. Moje serce zabiło żywiej. Och, błagam, niech to będzie Oklina! To byłby najpewniejszy znak, że zły los odwrócił się od Ruathy.

Oklina stała dumna. Nie była już nieśmiałą, wiotką dziewczyną, ale opanowaną, pełną godności młodą damą. Miałam łzy w oczach. Nieświadomie zacisnęłam pięści. Alessan ujął moją rękę i splótł swoje chłodne palce z moimi.

Jajo tuż pod nami zakołysało się silnie. Pozostałe także się kołysały. Siedzący z tyłu zakładali się, które jajo pęknie pierwsze. Nie wygrałabym zakładu. Pękło jajo poniżej nas i wychyliła się z niego wilgotna głowa smoka. Pisklę żałośnie piszcząc uwalniając się ze skorupy. To był

smok spizowy! Wśród audytorium dały się słyszeć westchnienia ulgi. Wyklucie się spizowego smoka w pierwszej kolejności uważano za dobry znak. Pisklę poczłapało prosto ku wysmukłemu chłopcu z burzą jasnobrązowych włosów nad czołem. To, że smoczątko wiedziało, kogo wybrać, także stanowiło dobrą wróżbę. Chłopiec nie wierzył we własne szczęście. Popatrzył błagalnie na kolegów. Śmiejąc się pchnęli go ku niepewnie stąpającemu zwierzęciu. Chłopiec pobiegł wreszcie w stronę smoka i, ukłękawszy na piasku, pogłaskał jego łeb.

Łzy ciekły mi strumieniami i nie tylko ja uległam wzruszeniu. Nie zdawałam sobie sprawy, że zgromadziłam tyle łez. Płacząc pozbywałam się napięcia. Czułam się tak, jakbym budziła się w piękny słoneczny dzień z długiego, męczącego snu. Poprzez łzy zobaczyłam, że błękitny smok także wybrał sobie partnera. W pomruk dorosłych smoków wplatały się piskliwe trele smocząt oraz okrzyki uszczęśliwionych młodych jeźdźców i ich rodzin.

Nagle wszystkie spojrzenia przyciągnęło kołyszące się gwałtownie jajo królowej. Gdy palce Alessana zacisnęły się kurczowo na mojej dłoni, zrozumiałam, że to, co się teraz dzieje, znaczy dla niego więcej, aniżeli chce przyznać. Takie pojęcia jak nadzieja, miłość, przywiązanie oznaczały dla niego nieuchronność klęski. Ten przebłysk świadomości pozwolił mi głęboko wejrzeć w duszę Alessana i lepiej go poznać. Przejrzałam wówczas człowieka, który pozostałym mógł wydawać się skryty i pozbawiony uczuć.

Jajo zachwiało się trzy razy i pękło równo na pół. Skorupy opadły na boki ukazując małą królową, która zdawała się wyskakiwać ze środka. Kolejny szczęśliwy omen!

Dwie dziewczyny poruszyły się. Alessan wstrzymał oddech. Dziwnym trafem nie miałam wątpliwości, kogo wybierze pisklę królowej. Szybko i zręcznie niż inne pisklaki złota królowa ruszyła wprost ku Oklinie. Odruchowo przytuliłam się do Alessana. Otoczył mnie ramieniem, podczas gdy Oklina uniosła lśniąco oczy znajdując wzrokiem B'leriona.

Jej imię jest Hannath! - krzyknęła radośnie. Promieniejąca szczęściem twarz Okliny była w tej chwili prawdziwie piękna.

Och, Alessanie! Alessanie! Alessanie! - powtarzałam przywierając do niego. Na próżno starałam się stłumić przepełniającą mnie radość. Nie udało mi się to, choć wiedziałam, że ta scena musi sprawiać mu ból.

Ona wiedziała, że Oklina będzie Naznaczać - powiedział chrapliwie, wpatrując się w rozjaśnioną twarz Okliny. Mówił o Morecie. - Ona wiedziała!

Przytulił mnie tak mocno, że traciłam oddech. Czułam w nim niepokój, czułam mocne bicie jego serca. Załkał i ukrył twarz na moim ramieniu szukając wsparcia, którego całą duszą pragnęłam mu udzielić. Trwaliśmy tak przez chwilę, a potem Alessan wyprostował się

spoglądając na piaszczysty plac. Z pewnością nic nie widział, bo nie odpowiedział, gdy B'lerion i Oklina dawali nam znaki. Pomieszczenie powoli pustoszało.

Na polu wylęgowym zapadła głęboka cisza, gwar w zewnętrznej hali tłumiły grube kamienne ściany. W końcu Alessan uniósł głowę. Jego zachowanie uległo subtelnej zmianie, której nie umiałam wówczas wytłumaczyć. Tak jakby w momencie, gdy Oklina dokonywała Naznaczenia, opadł z niego zły czar. Czy przestał rozpaczać, gdy dla niej zaczęło się nowe życie? Czy on także mógł rozpocząć nowe życie?

- Pomogła mi i dała nadzieję - mówił szeptem. Ledwo go słyszałam. - Nigdy jej tego nie zapomnę, Rill.

- Nikt z nas nie zapomni, Alessanie.

Nie płakał, choć miał zaczerwienione oczy i wypieki na twarzy. Pogłaskał mnie po policzku, tak jak czynił to niegdyś stryj Munchaun. Nie uśmiechał się, ale jego twarz wypogodziła się nieco. Powstał i zszedł niżej, podając mi rękę.

- Dzisiaj Oklina ma swój wielki dzień. Nic, nawet dawne smutki nie mają prawa tego zaćmić. Ani też, czcigodna Rill, nie będę się od ciebie domagał kielicha fellis. - Schodziliśmy na dół, patrzył pod nogi i nie zauważył, że znów zbiera mi się na łzy, tym razem z radości. - Za dużo pozostało do zrobienia w Ruathcie, a teraz straciliśmy Oklinę. Nie mogłem stanąć jej na drodze, tak jak mój ojciec zrobił to ze mną. Teraz cieszę się, że ja tak nie postąpiłem. Trzeba mi było przyjechać do Weyru Fort, aby zrozumieć, że życie się kończy, ale i zaczyna...

Zeszliśmy na ciepły piasek, a ponieważ nie musiałam już zachowywać godnej postawy, chwyciłam go za rękę i puściłam się biegiem. Potrzebowałam ruchu, bo aż kipiałam w środku ze szczęścia i podniecenia.

- Stopy mnie pieką, a nie możemy się spóźnić z gratulacjami.

Alessan prawie się roześmiał. Pobiegliśmy przez pole wylęgu w stronę hali zwanej Misą, gdzie właśnie rozpoczęła się zabawa. Nad nami na tle świetlistego nieba rysowały się sylwetki smoków, które obsiadły Krawędź. Słońce zamieniało każdego z nich w bryłę złota.

Rozdział XII

3.11.1553 Przerwa

Zbliżam się do końca opowieści i muszę stwierdzić, że przez pięć cudownych Obrotów żaden Opad nie zaćmił nieba nad naszymi głowami. Po przebytych nieszczęściach pozostało niewiele śladów. Kopce nagrobne zrównaliśmy z ziemią i teraz groby niemal giną w bujnej trawie.

Długi okres bez groźby Opadu Nici wyszedł nam wszystkim na dobre. Kamiana jest panią Weyru Fort, a G'drel, dobroduszny, tęgawy mężczyzna z Telgaru, jego panem. Dorianth, jego smok, połączył się z Pelianth podczas kolejnego lotu godowego. Obecnie mało się mówi o przywódcy skrzydła, Sh'gallu, ale G'drel i Kamiana często nas odwiedzają i G'drel nieustannie droczy się z Alessanem na temat naszego biegonia, Squealera. Jest niemal jedynym, oprócz Fergala, który sobie na to pozwala, choć z Alessanem da się na ogół dyskutować o różnych sprawach.

Nabeth - smok B'leriona - wymanewrował wszystkie spiżowe smoki na Pernie aby odbyć lot godowy z Hannath Okliny. Nikt zresztą nie wątpił, że tak się stanie.

Dwaj synowie Okliny bawią się teraz z naszymi dziećmi. Dotrzymałam bowiem zawiązka pierwszej części umowy z Alessanem: dałam mu czterech dorodnych synów i córkę, którą nazwaliśmy Moreta. Alessan nie chce, abym rodziła więcej dzieci, choć często mu mówię, że w ciąży jestem najszczęśliwsza i nigdy nie cierpię z powodu różnych dolegliwości jak inne kobiety.

Alessan pozwala sobie nawet na serdeczność wobec dzieci. Początkowo udawał całkowitą obojętność, jak gdyby okazując im czułość skazywał je na kieskę życiową. Ku mojemu zachwytowi dzieciaki odznaczają się niebywałą odpornością, rzadziej łapią choroby typowe dla tego wieku, nie kaleczą się ani nie obijają, nie łamią rąk i nóg jak inne dzieci w Warowni. Nasza córka, Moreta - Desdra zapewniła mnie, że to najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziała, więc nie jest to wyłącznie zdanie zaślepionej matki - okazała się słońcem, które przegnało chłód z duszy ojca. Nie był w stanie obronić się przed uczuciem do córeczki. Dziewczynka na widok ojca wydaje się rozkwitać z radości. Alessan nigdy zapewne nie będzie taki beztroski, wesoły i radosny, jak opisywała go Suriana, ale śmieje się chętniej i bawi go humor Tuero oraz psoty synów. Cieszy się ze zwycięstw Squealera i z ochotą podejmuje przybywających do Warowni gości.

Szykujemy się do naszego pierwszego, skromnego jarmarku. Poczekamy z tym do wiosny, kiedy ziemia pokryje się świeżą roślinnością. Jeśli czasem, przy omawianiu wspólnych planów, twarz Alessana pochmurnieje, udaję, że tego nie widzę.

Nawet jeśli nie kocha mnie tak jak Surianę czy Moretę, to jednak darzy mnie uczuciem, jakiego nie miał dla swojej pierwszej nieujarzmionej, obdarzonej dzikim temperamentem żony, oraz innym od głębokiego przywiązania wobec Morety. Rozumiemy się doskonale, często jednocześnie wypowiadamy te same słowa. Zgadza się we wszystkim, co dotyczy Warowni Ruatha i naszych dzieci. Alessan nie kryje uznania dla mojej pracy, choć nie wie jakie to ma znaczenie dla mnie, dziewczyny, która od własnej rodziny nigdy nie doczekała się

słowa podziękii.

Stopniowo, gdy strach przed utratą tego, co mu drogie, maleje, zmienia się i pod innymi względami. W nocy kocha i trzyma w ramionach nie cień Suriany czy marzenie o Morecie, ale Nerilkę - matkę swoich dzieci i panią swojej Warowni.

Czas już zamknąć tę opowieść, którą zaczęłam w smutku i męce, a zakończyłam w szczęściu. Oby i innym los tak sprzyjał.

Warownia Fort

Nerilka - córka pana Warowni Fort, Tolocampa i lady Pendry

Bracia i siostry wedle starszeństwa: Campen, Pendora (zameżna), Mostar, Doral, Theskin, Silma, Nerilka, Gallen, Jess, Peth, Amilla, Mercia i Merin (bliźnięta), Kista, Gabin, Mara, Nia i Lilia

Munchaun - ulubiony stryj Nerilki, starszy brat Tolocampa

Sira - ciotka nadzorująca tkanie

Lucil - ciotka sprawująca opiekę nad najmłodszymi dziećmi w Warowni

Felim - szef kuchni

Brandy - rządcą Warowni

Casmodian - główny harfiarz

Theng - naczelnik straży

Sim - osobisty pomocnik Nerilki

Garben - pan małej Warowni, konkurent Nerilki

Anella - druga żona Tolocampa

Cech Harfiarski i Cech Uzdrowicieli

mistrz uzdrowiciel Capiam

mistrz uzdrowiciel Tirone

Desdra - czeladniczka kształcąca się w sztuce lekarskiej

mistrz Fortine, główny zastępca Capiama

mistrz Brace, główny zastępca Tirone'a

Macabir - uzdrowiciel w obozie dla internowanych

Siedziba Górska

Bestrum - pan małej Warowni graniczącej z Fortem i Ruathą

Gana - żona Bestruma

Pol - parobek zajmujący się biegoniami

Sal - jego brat

Trelbin - uzdrowiciel uznany za zmarłego

Warownia Ruatha

Alessan - nowo ustanowiony pan Warowni

Oklina - jego młodsza siostra

Tuero - czeladnik harfiarski przebywający w Warowni podczas epidemii

Dag - główny nadzorca stajni

Fergal - wnuczek Daga

Deefer - mieszkaniec Warowni

Lord Leef - nieżyjący ojciec Alessana

Suriana - zmarła żona Alessana, wychowana wraz z Nerilką w Warowni Mgieł

Jeźdźcy smoków z różnych Weyrów

Moreta - pani Weyru Fort, ujeżdżająca Orlith

Leri - była pani Weyru Fort, jeżdżąca na Holth

Falga - pani Weyru Dalekich Rubieży jeżdżąca na Tamianth

Bessera - pani Weyru Dalekich Rubieży, jeżdżąca na Odioth

Kamiana - pani Weyru Fort, jeżdżąca na Pelianth

G'drel -jeździec smoka z Weyru Fort, smok - spizowy Dorianth

B'lenon - jeździec z Weyru Dalekich Rubieży, smok - spizowy Nabeth

Sh'gall - pan Weyru Fort, smok - spizowy Kadith

M'tani - pan Weyru Telgar, smok - spizowy Hogarth

S'peren - jeździec z Weyru Fort, smok - spizowy Clioth

K'lon -jeździec z Weyru Fort, smok - błękitny Rogeth

M'barak -jeździec z Weyru Fort, smok - błękitny Arith

Pozostali

Ratoshigan - pan Warowni, Południowy Boli

Balfor - mistrz hodowli, Warownia Keroon